

PIEŚŃ BIAŁEGO DOMU

ALEKSANDER SZCZĘSNY

PIEŚŃ BIAŁEGO DOMU



WARSZAWA 1915 KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
NAKLAD TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE.

PIEŚŃ BIAŁEGO DOMU.

Gorąco jest w mieście w upalne letnie dnie. Ludzie chodzą tuż pod murami domów, aby choć trochę korzystać z cienia, pochowanego po kątach. W ogrodach, łąbędzie śpią u brzegu sadzawek, pod zwisającymi nieruchomo gałęzmi srebrzystych wierzb, a asfalt chodników miękki jest jak najdoskonalszy dywan.

Tylko słońce nieustannie czuwa na niebie i uważa, aby każda najmniejsza choćby powierzchnia wody, każdy nowy dach blaszany, albo szyba otwartego okna odbijały je jak lusterko.

Kiedy nadchodzą takie dnie, spoglądam z utęsknieniem, siedząc w swoim mieszkaniu, na zielony worek podróżny, wiszący w kącie. Gdybyż teraz można było wydostać się za miasto i iść przez łąki, ku tym czarnym lasom, u których jakby kończy się ziemia.

Aż wreszcie nadchodzą dnie, kiedy mam więcej wolnego czasu. Wstaję raniutko i oglądam troskliwie rzemienie tłomoczka, nim go zarzucę na plecy. Mam w nim wszystko, co niezbędne jest do pieszej podróży. Wreszcie wesoło wychodzę na ulicę.

Zaczyna się już robić gorąco. Stróże polewają podwórza i przedsienia, z bram, które mijam, zawiewa wilgotny chłód.

Дозволено Военной Цензурой, Варшава, 18 Ноября 1914 г.
Чтением Друкни Науковей, Варшава, Мазовицка 8.

K-22/77/78074

Ale oto wydostają się za miasto. Droga wiję się przedemną daleko, po bokach rosną wysokie topole, a gdzieś pośrodku zboża sterczy samotna dzika gruszką.

Widzę przed sobą pociąg, jak posuwa się pod lasem. Długie kłęby pary ciągną się nad nim niby półprzezroczysta biała lizska, słaby gwizd dochodzi aż tutaj, a wagonny, maleńkie jak zabawka, ciągną się długim sznurem. Nie daleko płynie rzeka. W zaroślach nadbrzeżnych roją się owa dy. Jętki krążą nad małymi zatokami w piasku, a miasto ukryte we mgle powietrza, pokazuje tylko swoje najwyższe wieże.

Tak idę coraz dalej. Aż wreszcie mój czas wolny upływa i trzeba wracać do miasta. Ale wtedy wszystkim kwiatom, które spotykam po drodze, mówię, że zobaczymy się jeszcze. Wiatr faluje zboże, kwiaty nachylają się ku mnie, a ja — uśmiecham się do nich ogorzałą twarzą.

— — — — —

W jednej z takich wędrówek, dość daleko od miasta, natrafiłem na zamknięty biały dom, stojący niedaleko od drogi. Było wtedy południe. Zmęczony i zgrzany, wszedłem przez zniszczoną bramę ogrodzenia na duże podwórze. Po trawnikach przed domem widać było odrazu, że tutaj nikt nie mieszka. Klomby zarosła gęsta dzika trawa, pełna małych żółtych kwiatków, pokryła ona także, choć nie tak gęsto, żwirowane niegdyś ścieżki. Niektóre z zamkniętych zielonych okiennic domu podparte były poczerniałymi żerdziami.

Zbliżyłem się do drzwi i wziąłem za klamkę. Drzwi się otworzyły. Z dużego przedpokoju wąskie drewniane schody prowadziły na górę. Znalazłem tam mały, również otwarty pokój z wychodzącym na tyły domu balkonem.

Stałem na nim, aby się przypatrzeć pięknemu widokowi.

Za domem był duży ogród owocowy, a za nim aleja topolowa, prowadząca do drugiej drogi tuż nad rzeką.

Szeroka rzeka zakręca w tem miejscu, a na środku jej znajduje się duża wyspa zarośnięta krzakami.

Gdy upał dokuczył mi bardzo na balkonie, zszedłem po chwili na dół i w dużym pokoju postanowiłem przeczekać południe. Pokój był zupełnie pusty. W ścianach tkwiły tylko gwoździe po obrazach, a na spłowiałej tapecie widać było ciemniejsze miejsca tam, gdzie one niegdyś wisiały, albo gdzie stały meble. W świetle, wpadającym przez duże serca okiennic, wirował drobnutki kurz, mucha brzęczała gdzieś w kącie. Urwaną gałązką oczyściłem podłogę z kurzu na środku pokoju i położyłem się tam na chwilę z głową opartą o mój tłomocek. Wkrótce usnąłem.

Kiedym się obudził, światło w okienicach było czerwone, a więc spałem do zachodu słońca. Przez otwarte drzwi dolatywało brzęczenie koników polnych. Wstałem i wyszedłem przed dom, ale choć spóźniony, nie ruszyłem zaraz w drogę...

Bo oto kiedym usiadł na chwilę na schodach przed drzwiami, dom przemówił do mnie. Przemówił echem swoich pustych pokoi, patrząc jakby wycięciami zamkniętych okiennic.

A tymczasem niebo pociemniało i okryło się gwiazdami. Głosy wieczorne zlały się powoli w jedno ciche brzmienie, w którym utonął głos domu. Ale ów głos, i to, co po nim nastąpiło, obudziły we mnie chęć wysnucia sobie całej — długiej opowieści.

GŁOS DOMU.

Dobrze mi jest na starość bez ludzi. Patrzę na świat, i uśmiecham się cicho. Mój wiek nikogo już nie nęci. Stoję pośród traw i drzew, coraz im bliższy, i rozumiem wszystko. Patrz, oto słońce zachodzi, schyla się ono niby wielki kwiat czerwony daleko za rzeką. Złote chmurki płyną wolno po bładem niebie, czerwienieją i zmieniają kształty, a mój dach, podobny jest z koloru w tem świetle do ziarenek maku. Gdybyś był tak wysoki jak ja, to dojrzałbyś, że na zachodzie, u brzegu nieba, leży wązka ciemna chmurka. Igrają w niej sine iskry i chmurka się nieznacznie rozrasta. Siedź i słuchaj, będzie z niej deszcz, ale dopiero późną nocą. — Czy czujesz jak pachną trawy? Drzemały w słońcu cały dzień, i teraz przed zmrokiem każda z nich jest jak mała kadzielnica, a wiele ich tutaj naokoło? Drzewa dla mnie potrząsają liśćmi, słońce, zachodząc, pieści mój dach, a trawy dają swoje zapachy. Kiedy już odejdiesz późną nocą, stanę w błyskawicach taki białutki, jakim mnie nigdy malarz wiejski nie oglądał, a ciepły deszcz zmyje ze mnie kurz. Ale przedtem jeszcze pozwolę nadchodzącemu wiatrowi pobiegać po moich pokojach; wie on wszystko i zaśpiewa mi przeciągle jakąś żalosną historję ziemi, rzucając na dach trochę nowych ziaren, aby się zazieleniły później między szczerbatemi gontami.

Deszcz przejdzie, drzewa cicho otrząsną się z wody

i księżyc zajrzy w serca moich okiennic. Podłogi to jego wielkie przyjaciółki. Zacznie iść po nich długim pasem, jakby zasłuchany w wolną rozmowę starych desek, aż ku ścianom. A wtedy na nich, zamiast obrazów, które tu kiedyś wisiały, zjawią się czarne cienie liści z za okna, na pięknem srebrzystem tle żywego powietrza, które drży jak serce ptaszyny.

Wtedy zacznę się modlić razem z trawami i drzewami aż do białej rosy, aż do świtu, co jak bledziutki pasek całą noc czuwa, naprzeciw zachodu... A nad ranem zaśpiewają ptaki. Wielę ich gniazd tulę do siebie. Obudzą się w pierwszym świetle i zaczną wołać, aż drzewa potrząsną po raz pierwszy ciężkimi liśćmi. Krople rosy zaczną spadać z nich na mech mojego dachu, aby się napił dosyta.

Słońce! słońce! usłyszę wtedy jakiś głos wielki, choć daleki i odetchnę do nowego dnia. Oto jest moje życie...

Nie wiesz, że przedtem mieszkali tutaj ludzie. Ojciec, matka i mała dziewczynka. Czas płynął, rodzice starzeli się, a dziewczynka rosła niby śliczny kwiat ludzki.

Tylko że historia kwiatów ludzkich nie jest tak łatwą do opowiadania, jak tych, które tu widzisz u moich stóp. Przychodził tutaj też mały chłopiec, — wielkie piękne serce jego poznała niedawno cisza tego miejsca. Dziewczynka z rodzicami wyjechała stąd, ale całą jej i swoją historję on tutaj wypowiedział. Wygrał ją na skrzypcach głosem, od którego niemieje przyroda i powierza swoje skarby w ręce ciszy, piastunki wielkich spraw. Nie potrafię ci tej melodji powtórzyć. Stań się cichy, a zagra ona po raz drugi w tobie samym, aby ci uświecić serce.

Dom ucichł, a ja słuchałem długo melodji ciszy, która, gdy przepływa przez duszę, czyni ją pogodną, jak piękny wieczór letni. I teraz opowiem, co usłyszałem, bom myślał o tem nieraz długo, kiedy mi nikt nie przeszkadzał.

HISTORIA CHŁOPCA I DZIEWCZYNKI.

I.

Pewnego zimowego popołudnia, zanim się ściemniło, biały dom patrzył na wszystkie strony z pod wiszących na nim długich sopli, niby z pod ogromnych brwi.

Nagle na końcu topolowej alei, prowadzącej do drogi nad rzeką, ukazała się jakaś mała postać. Był to biednie odziany chłopiec, z niedużem zawiniątkiem pod pachą. Obok niego biegł mały kudłaty piesek. Rodzice dziewczynki siedzieli wtedy w dużym pokoju od frontu, w kuchni zajęci byli podwieczorkiem kucharka ze stangretem, a mała dziewczynka siedziała przy oknie, wychodzącym na ogród, w pokoju matki.

Okno było zamrożone od góry do dołu, więc otworzyła wewnętrzny lufcik i przykładła ciepły paluszek do szyby, roztapiając powoli lód, aby dojrzeć, co się dzieje na świecie. Tymczasem chłopiec szedł ciągle aleją, wiatr targał na nim ubranie i otrząsał z gałęzi śnieg na głowę, a piesek dreptał obok powoli i tak zbliżali się do domu, przy resztach dziennego światła. Pod oknem, przy którym siedziała dziewczynka, stała ławka ogrodowa. Chłopiec, gdy do niej doszedł, wdrapał się na nią i ostrożnie zaczął zaglądać przez okno, przestępując na zmarzniętych nogach. Piesek stał w śniegu i patrzył w górę. W tej właśnie chwili lód ustąpił pod

paluszkami dziewczynki. Mały krążek na szybie zrobił się przezroczysty, a w nim jak w ramce dziecko dojrzało duże smutne oczy wędrownego grajka. Dziewczynka spojrzała w nie przez chwilę. Był w nich także cały świat zimowy, świat biednego smutnego dziecka, które nie ma nikogo bliższego.

Nagle zaszczekał zniecierpliwiony piesek, dziewczynka odbiegła od okna, a chłopiec zsunął się z ławki i poszedł powoli wzdłuż domu, aby natrafić na drzwi kuchni.

Wreszcie natrafił na nie i stał tam chwilę, bo bał się sam otwierać. Dopiero na słabe pukanie gruba kucharka wpuściła go do środka.

Ach jakież był ciepły ogień na kominie! Stare zaduże buty schły przy nim powoli, zmarznięte nogi bolały poprawda, ale cóż to znaczyć mogło.

Piesek dostał dużą kość od pieczenia, a chłopiec też po chwili opróżniał miskę z zupą, aż mu się uszy trzęsły.

— Dokąd idziesz, chłopcze?—pytali go kucharka i stangret, który opuścił fajkę na kolana i długo przypatrywał się małemu.—Idzie do miasta, umie trochę grać, a na wsi naczeka się skrzypce takie, jak jego, przydać mogą?

— Więc zagraj nam co, chłopcze — powiedzieli oboje, a chłopiec otarł usta zadługim rękawem i wyjął z zawiniątka swoje skrzypce. Prostym był instrument, jedyny sprzęt, jaki mu pozostał po ojcu. Ale kiedy chłopiec popróbowował strun palcami, dała się z nich słyszeć nuta wielkiego serca.—Jestem sam — odezwało się z nich przy pierwszym dźwięku,— a kocham wszystko, — a potem coraz ciszej dźwięk się rozpląnął:—i pozostanę sam.—Chłopiec zagrał jakąś cichą melodię.—Dobrze grasz—powiedział stangret, gdy chłopiec skończył,— na weselach nie słyszałem nic podobnego. — I wyjął ze starego woreczka trochę pieniędzy.—Weź to odemnie, nie wstydź się, to ci się przyda w mieście; kiedyś grał, myślałem o moim synu, który jest daleko za morzem, Bóg ci zapłaci za to.—Kucharka szykowała tymczasem coś w kącie

obok komina.—Zostaniesz się na noc u nas, gdzieżby takie dziecko chodziło po ciemnicy i mrozie—powiedziała, a chłopiec spojrział na nią z wdzięcznością.

Wtem do kuchni weszła pani z córką.—Zatrzymaliśmy to biedne dziecko na noc,—powiedziała kucharka,—idzie do miasta i chyba zmarzłoby po drodze.—Wtedy pani spojrziała na chłopca. Stał przy kominie i trzymał swoje skrzypce w ręce, a teraz, nie wiedząc co odpowiedzieć, podniósł je do twarzy i znów zagrał coś cichutko. Przytem patrzył ciągle na dziewczynkę, która schyliła się i wołała do siebie pieska. Pani zaczęła pytać chłopca i dowiedziała się powoli, że jest sierotą. Stryj go wyprawił do miasta na zarobek, aby nie żywić w zimie i doprawdy nie wie, jak sobie da radę.—Pójdiesz jutro dalej, jak się słońce pokaże i zrobi się trochę cieplej—zakończyła głaszcząc, go po głowie.

I chłopiec został. W nocy dom mu śpiewał razem z wiatrem w kominie swoje opowiadania, a księżyc świecił przez zamarznięte okna i całował go po twarzy.

Nazajutrz rzeczywiście była pogoda. Chłopiec odpoczął w cieple, napił się dobrego mleka i z paroma bułkami w kieszeni szedł do drogi, kiedy słońce już było wysoko na niebie i dach domu skrzył się cały jak brylantowy. Dziewczynka była ze swojemi lalkami przy odejściu grajka i zaczęła o coś prosić matkę.

— Zaczekaj jeszcze—zawołała po chwili pani, gdy mały z pieskiem chciał odchodzić. — Maciej jedzie po gałęzie do lasu, to cię podwiezie kawałek na saniach, a tutaj masz coś do okrycia się i otuliła go dużą starą chustką wełnianą, zawiązując ją na węzeł na plecach.—A teraz do widzenia.

Duże sanie stały już na podwórzu. Chłopiec ukłonił się niezgrabnie i usiadł obok stangreta razem z pieskiem, a węzełek położył przy sobie. Duży siwy koń zakręcił w podwórzu i zaczął biedz truchtem po ośnieżonej drodze... Chłopiec oglądał się często za siebie, ale widział tylko zamknięte drzwi i osypane śniegiem okna domu. Nie mógł więc do-

myśleć się, że dziewczynka ustawiła przy oknie swoje lalki i patrzyła, dopóki konia i sanie widać było coraz dalej na drodze.

Kiedy chłopiec odjechał, dziewczynka poszła do salonu i posadziła lalki na kanapie. Muszę o nich parę słów powiedzieć, bo zasługują na większą uwagę. Lalek było trzy. Jedna stara, zamorusana, z włosami w nieładzie, ale zato bardzo pocziwa. Gdyby wiadomo było, że niektóre z lalek mają serca, to jej napewno by nie zabrakło między niemi. Obok niej, ostrożnie, aby się tamtej zbytnio nie dotykać, siedziała pięknie wystrojona dama dworska w atlasowej sukni. Jej duże czarne oczy patrzyły z wysoka na wszystkich z pod pięknie malowanych brwi. Teraz właśnie, z nogą założoną na nogę, tak aby widać było białe pantofelki i ażurowe pończoszki, zwróciła się twarzą do trzeciej lalki sztywnej i wyprostowanej. Był nią elegancki pan, ubrany czarno z pięknie uczesaną głową i twardemi od kleju wąsami, postawionemi do góry. Pan był niesłychanie dumny i zarozumiały, co widać było od razu z jego twarzy i ruchów. Pasowali do siebie doskonale z damą dworską i dlatego zawsze byli zwróceni do siebie, kiedy je razem posadzono.

— Jakże się wam koncert wczorajszy podobał?—zapytała dziewczynka.—Nieprawdaż, że był bardzo ładny?

Pierwsza lalka słuchała uważnie z pod swej zwichrzonej czupryny, niby mówiąc — ależ tak, bardzo, — zato dwie następne miały obojętne miny, jakby chciały wzruszyć ramionami. Bo też cóż je mógł obchodzić jakiś biedny chłopak. Przeciwnie, śmiały się z tego, co mówiła dziewczynka i trącały się sztywnemi łokciami. Dziewczynka próbowała im zaśpiewać to, co grał chłopiec. Wtedy strojne lalki, widać dobrze o poręcz nie oparte, zaczęły się obsuwać, w miarę jak im śpiewano, aż w końcu leżały obie z zamkniętymi oczami, jakby sen był im najmilszą rzeczą na świecie. Jed-

nem słowem, były to złe istoty, warte tyle, ile trociny, jakimi je wypchano w fabryce.

Lalki poszły wreszcie spać. Niedługo po nich usnęła i dziewczynka w swoim wygodnym łóżeczku. Wiatr na dworze dał chwilami i gwizdał, mała lampka zasłonięta kloszykiem paliła się w rogu ciepłego pokoju, a gdyby kto wyszedł na drogę, toby zobaczył zdaleka białą, słabą łunę na niebie. Były to światła miasta, gdzie teraz pewnie błąkał się mały grajek.

— — — — —

W zimie dnie na wsi podobne są bardzo jeden do drugiego. Wiadomo, że z dni tworzą się miesiące, a z miesięcy pory roku. To też nadszedł czas, kiedy śniegi zaczęły topnieć, mrozy nie dokuczały więcej, a po nocach słychać było w wilgotnem powietrzu od rzeki huk pękającego lodu.

Dziewczynka czasem śpiewała lalkom zapamiętaną melodię, bawiąc się z niemi w gości, albo spacerując po pokojach, ale zachowanie się damy dworskiej i pana było zawsze jednakowe. Nie chciały słuchać brzydkiej melodji, sprawiała im ona widoczną przykrość.

Tymczasem słońce świeciło coraz dłużej, na trawnikach przed domem zaczęła się już pokazywać trawa. Wieczorem podnosiła się nad rzeką srebrna mgła, przez którą rogaty księżyc świecił blado i niewyraźnie, rozplywając się w dużą plamę. Zaczynała się wiosna.

II.

Śliczna jest wiosna na wsi. Słońce świeci cały boży dzień do zamkniętych jeszcze pokoi, gazeta położona na oknie płowieje od niego szybko, a drzwiczki niepotrzebnego już prawie pieca błyszczą złotemi iskierkami. Przed domem stoją jeszcze wielkie kałuże, ale z dachu nie ścieka już woda i długie kryształowe sople, wiszące niedawno aż do samych szyb, gdzieś się podziały. Pomaleńku zjawiają się ptaki. Wróble, które nie potrzebują się nigdy zagospodarowywać, bo zawsze kręcą się po podwórzu, skaczą teraz wszędzie, gdzie tylko się okiem rzuci. Domowy kot patrzy na nie z zasyby, miauczy cicho, rusza wąsami i kręci za niemi głową, jakby oszalał.

W lesie i na łące codzień jest coś nowego. Woda ścieka strumyczkami do rowu, z którego już się pokazują jakieś wysmukłe badyłki. Środkiem rowu płynie mała bystra rzeka, odbijając w sobie nagi krzak, rosnący na brzegu. Ale krzak też może coś pokazać. Bliziotko, tuż przy brunatnej korze gałązek, zjawiają się małe wyrostki, otulone lepka smołą, brązowe jak skórka upieczonego chleba, powiększają się szybko—pękają zielonemi szczelinkami. Wreszcie ze środka, z ciepłej pościeli wydobywają się blado—zieloniutkie rączki: to młody liść wygląda na świat.

Jeszcze i jeszcze trochę tego słońca i śpiewu na świe-

cie, a krzak otwiera małe stulone listki i zaczyna kołysać je w ciepłym wietrze.

Tak rozwijają się drzewa i krzewy.

Potrząsa niemi cicho wiatr i wtedy cieszy się ziemia. Czarne i kolorowe owady zjawiają się tłumnie w gęstwinie trawy. Przebywają tam jakieś niesłychane przepaście, omijają jeziora, tak wielkie dla nich jak morze, za którego brzegami inne zaczynają się kraje. Albo wdrapują się na szczyty wysokich sztywnych łądek, i stamtąd oglądają świat naokoło, jak daleko ich wielkie wypukłe oczy sięgnąć mogą.

A potem stroi się ogród. Liście ustępują białemu śniegowi, który jakby pokrywa wszystko nanowo. To kwitną owocowe drzewa. Wieczorami, słodki zapach unosi się w powietrzu, wlewa przez otwarte okna do pokoi i otula biały dom. Ptactwo układa się do snu, od jeziorek, które porozlewała rzeka, rozlega się chór żabi. Kum—kum, kreek a jakiś pojedynczy tęskny głosik powtarza ciągle:—uun—uun.

Dziewczynka kocha wiosnę.

Tyle kwiatów zjawia się codzień. Pierwsze miały jeszcze mszyste łodyżki, tak jakby ktoś troskliwy zaopatrzył je w futerka na ostatnie chłody. Ale późniejsze są już w wiosennych sukienkach. Chowają się w trawę, jakby kusiły i świecą kolorami. Więc dziewczynka rwie ich całe bukiety i ubiera niemi swoje gospodarstwo lalek, jakie ma w pokoiku.

Lubi też wybiegać przed dom na drogę i patrzeć daleko. Drogą przejeżdżają wozy, konie, stąpając, rozpryskując drobne kałuże i znikają na zakręcie. Albo wraca na podwórze. Tam w kącie pod szopą, stoją błyszczące od roboty pługi, po zębach starej brony opartej o ścianę skaczą trzepotliwie kury, a kogut wskoczył na długie koryto u studni i spogląda naokoło poważnie, aby wreszcie zamknąć oczy, wyciągnąć szyję i zapać na całe gardło.

— Taś, taś — woła kucharka i sypie ziarno pod ścianę, obok dużej miski z wodą. Wszystko ptactwo zbiega się do

jedzenia, a gołębie jak kule spadają z dachu w sam środek gromady.

Tak przechodzą dni za dniami. Aż kiedyś dziewczynka z lalkami na ręce wyszła na dużą drogę i zobaczyła, że ktoś idzie od strony miasta. Wierzby po bokach rzucały duży poprzeczny cień na boczną ścieżkę dla pieszych i na bielone sterty żwiru usypane w odstępach.

Idący w jasnym słońcu zdawał się mały, a kiedy wchodził w cień — urastał do wysokości dorosłego człowieka. Kto to może być? Niesie podłużne pudełko w ręce...

I w tej chwili dziewczynka przypomniała sobie melodię. Zimowa muzyka w kuchni, pewnie to ona! Ale dwie strojne lalki powiedziały jej pocichu — że nikt nie wychodzi na spotkanie tego, kogo się nie zna, więc dziewczynka zawraca do domu, aby usiąść na ławce na ganku.

Tam lalki, oparte o balustradę, przybierają obojętne miny, a ona usiłuje koniecznie włożyć zwinięty w trąbkę liść bzu w szparę ławki, patrząc z pod oka, kto nadchodzi.

Naprawdę, to chłopiec. Ma zakurzone buki i jest zmęczony. Wóz, który jechał za nim, przejeżdża dalej, skrzypiąc, a on zatrzymuje się chwilę w bramie i zbliża do ganku. Przed gankiem staje, spogląda na siedzącą — zdejmuje czapkę. — Nie, dłużej nie można już tak siedzieć, — myśli dziewczynka, wstaje i mówi — dzień dobry — idąc naprzeciw. — Jedną z lalek spada na ziemię z wykrzywioną miną.

Chłopiec się trochę zmienił, jest porządnie ubrany, głowę ma ostrzyżoną i patrzy na dziewczynkę dobrymi oczami, jakby zapytując o coś. Właśnie ojciec nadchodzi z daleka przez podwórze. — Tatusiu — woła dziewczynka — chłopiec przyszedł. — Ojciec się zbliża, wita go i pyta, co porabia w mieście.

— Uczy się grać. Dobrzy państwo zajęli się nim, gra już teraz daleko lepiej i przyszedł podziękować jeszcze raz.

— Zostaniesz u nas, chłopcze, do wieczora — mówi oj-



ciec,—jadę do miasta, to cię odwiozę, a teraz, dzieci, pójdźcie sobie trochę do ogrodu, póki matka zawoła na obiad.

Chłopca to bardzo cieszy. Nie wiedziałby, co ze sobą zrobić, a nie mógł prosić dziewczynkę, aby z nim porozmawiała. Zresztą on sam nie umie łatwo i pięknie rozmawiać, a tam w ogrodzie może mu co przyjdzie do głowy.

I dzieci idą do ogrodu. Młode drzewka wiśniowe stoją tam rzędami, jak baletniczki na jednej nóżce w rozwianych białych sukienkach. Dzieci idą razem pośród śpiewu ptaków i dziewczynka zapytuje, co to jest właściwie gra na skrzypcach?

— Ależ to jest najpiękniejsza rzecz pod słońcem. Kiedy się lekcja skończy, chłopcu pozwalają pograć trochę dla przyjemności. I wtedy gra wszystko to, co pamięta. Podróż w zimie do miasta jest tam też. Skrzypce mówią, jak wiatr kołysze topole w alei, jak spada śnieg na głowę i jak zmęczony piesek drecze w głębokim śniegu, kiwając kudłatym ogonkiem. Biedny piesek zginął mu po przyjeździe do miasta i chłopiec napróżno go wołał wśród gwaru i brzęku sanek. Był już późny mroźny wieczór, a on utracił swojego najlepszego przyjaciela. Wtedy to właśnie zapłakanego spotkali dobrzy państwo i zabrali ze sobą. Skrzypce grają, jak stryj kazał mu iść do miasta, nie chcąc karmić takiego chudziaka. Grają—jak nie wiedział, co pocnie, kiedy wyszedł z cmentarza, gdzie leżą jego rodzice. Opowiadają rozmowę z ośnieżonym krzyżem przy drodze za wsią, z którego zerwała się czarna wrona, gdy chłopiec się zbliżył.

— Więc tyle można wygrać na skrzypcach?—dziwiła się dziewczynka. — Ależ to jest daleko lepiej, niż bawić się lalkami.

Chłopiec spogląda na nią uśmiechnięty i opowiada dalej, przystając koło brzęczących uli. Dziewczynka podaje mu kawałek kleju urwany z pnia starej wiśni, a przytem zapytuje go, czy grał co o jej lalkach.

Chłopiec się czerwieni. Bierze kulkę przezroczystego

kleju w usta, gryzie go powoli, tak jak dziewczynka i nie odpowiada. Wreszcie zaczyna mówić; udeptuje przytem świeże kretowisko przy ścieżce i jest zmiészany.

— O lalkach nie grał nigdy. Lalki to są przecie zabawki i dlatego nie rozumie ich. A zresztą czyż o lalkach trzeba myśleć? Widział kiedyś w mieście katarynkę. Grała wesołe łatwe melodie, a nad rozstawionym parawanikiem dwie lalki tańczyły i biły się.—Widocznie taka muzyka podobała się im, a przecie skrzypce to zupełnie co innego i dziewczynka to chyba wie oddawna? Wreszcie dziewczynka się zgadza na to wszystko. Wuj nazywa coprawda jedną lalkę jej narzeczonym, ale z tego nic nie będzie. Teraz dopiero przypomina sobie, że kiedy przyszedł niedawno na podwórze wędrowny kataryniarz, narzeczony siedział przy oknie i kiwał wesoło głową. Ale jeszcze zapytuje chłopca, czy o niej grał? Chłopiec milczy. Akurat wielka pszczoła usiadła blisko na kwiatku jabłoni. Chłopiec patrzy na nią. Grał, ale nie wie jak to powiedzieć. I dopiero dzwonek do obiadu, który odezwał się nagle, przerywa ciszę.—Chodźmy na obiad,—mówi dziewczynka, biorąc go za rękę i prowadzi chłopca w podskokach ku domowi.

— — — — —
Dzieci siedzą przy stole i jedzą obiad.

— Cóż to?—mówi matka—zapomniałaś dzisiaj o swoich lalkach? A dziewczynka odrzuca w tył niesforne warkoczyki i odpowiada, że chłopiec mówił jej tak dużo o tem, co to jest granie na skrzypcach, że doprawdy zapomniała.

Po obiedzie chłopiec dziwnie ośmielony mówi:—teraz zagram—ogród.—Lalki już siedzą na kanapie, rodzice i dziewczynka słuchają uważnie, a chłopiec gra. Gra o kwitnących drzewach, o swoim opowiadaniu. Pośród ogrodu stoi dziewczynka i uśmiecha się. Motyle krążą w koło jej głowy, u góry chwieją się kwitnące gałązki... Za ogrodem nad łąką uwija się czajka, na białem jej skrzydle słońce lśni jak na

pianie wodnej. A z daleka zbliża się chłopiec, niesie białe zgubione pióro czajki, podaje je dziewczynce, i mówi nieswoim, poważnym głosem:—to jest muzyka.

Tak upływa czas i wreszcie nadchodzi wiosenny wieczór, gdy trzeba jechać do miasta. Bryczka stoi przed domem, koń skrobie nogą po żwirze. A kiedy matka żegna się z ojcem, chłopiec patrzy na dziewczynkę. Ma ona lalki na rękach, ale też patrzy na niego. I odbija im się w oczach cały świat wiosenny, pełen kwitnących drzew i rozśpiewanych ptaków.

III.

Chłopiec odjechał, a kiedy ojciec nazajutrz wrócił z miasta, dziewczynka dowiedziała się wiele z tego, co rodzice rozmawiali przy stole.

— To bardzo zdolny chłopak—mówił o nim ojciec—poznałem tych, którzy go kiedyś w zimie na ulicy spotkali, kształcą go oni teraz swoim kosztem, a nauczyciele przepowiadają im podobno, że kiedyś będzie z niego doskonały muzyk. „Chłopiec umie grać to, co się myśli“,—zapytuje dziewczynka—czy każdy to potrafi? Pamiętasz, ojcze, jak grał nam „ogród“—to było bardzo ładne—i dziewczynka wyciąga lewą rękę jakby trzymała w niej skrzypce, a prawą porusza niby smyczkiem. La-la-la—śpiewa sobie przytem, co ma wyobrazić, że chłopiec gra „ogród“. Po obiedzie dziewczynka idzie do kuchni, gdzie woźnica akurat przyniósł wodę w wiadrze. Mój drogi, mój kochany—prosi go jak może—zrób mi małe skrzypce. I małe skrzypce z sosnowej deseczki wkrótce są wystrugane, bo przecie panienka tak o nie prosiła. Na struny kucharka dała kawałek białej nitki, smyczek też już jest gotów.

Teraz zaczyna się lekcja. Pan jest chłopcem i ma grać na skrzypcach. Ale pan widocznie nic nie myśli, bo grać wcale nie umie. Skrzypce wypadają mu z rąk a on sam jest taki zły i sztywny, że lekcja prędko zniechęca dziewczynkę.

Niedługo przychodzi jej inna myśl do głowy.—Mamusiu, czy każdy może grać łatwo to, co myśli?—zapytuje matki.—Ja też chciałabym grać.—I dopóty prosi, aż sprawa zostaje zdecydowana. Dziewczynka będzie się uczyła grać na fortepianie. Matka umie grać na nim i nieraz w zimowe wieczory, dziewczynka tańczyła z lalkami w salonie, przy dźwiękach jakiegoś wesołego walczyka. Ale wtenczas nie myślała nigdy, co to jest muzyka. Czasami gdy fortepian był otwarty, sama naciskała palcami klawisze, bo ją bawiły huczące struny. Teraz to zupełnie co innego; na skrzypcach można grać to, co się myśli, o fortepianie dziewczynka tego nie wie. Więc przed lekcją pyta ciekawie matki—czy ty, mamó, też grasz to, co myślisz?

Matka nie odpowiada odrazu. Gra ona oddawna i pewno nieraz chciała wypowiedzieć to, co myśli. Ale matka wie, że to jest ogromnie trudno, nie chce więc zniechęcać córki. Wie, że często chciała wygrać najcięższe swoje myśli, które teraz po zapytaniu przypominają jej się po kolei. Matka milczy, ale dziewczynka patrzy na nią pytającym wzrokiem.

— Ma się rozumieć, że grać to, co się myśli, można na każdym instrumencie, ale trzeba do tego grać doskonale. Niekażdy potrafi to tak jak chłopiec na swoich skrzypcach, bo nie każdy ma talent, to jest jakąś nadzwyczajną zdolność, z którą się już urodził.—Zobaczysz, mamó—mówi na zakończenie dziewczynka — jak ja się łatwo grać nauczę — i lekcja zaraz potem się zaczyna.

Dziewczynka siada na dużym wykręcanem krzeselku, które dla niej trzeba było bardzo wysoko podnieść, aby dostała rękoma do klawiszy, a matka ją uczy, jak trzeba trzymać ręce przy graniu. Matka gra łatwo, struny dźwięczą jakby same.—Matko, czy teraz już co odpowiadasz?—zapytuje znowu dziecko. I dowiaduje się, że takie granie nic jeszcze nie znaczy, lecz służy tylko do wprawiania palców, aby trafiały szybko we właściwe klawisze.

Więc dziewczynka się wprawia, wprawia się codziennie,

niedługo będzie mogła już opowiadać na fortepianie, a teraz uczy nieposłuszne palce. Lalki siedzą obok niej na krześle i śmieją się po cichu z jej gorliwości, słońce zagląda przez firankę i woła:—chodź do ogrodu!—a fortepian opiera się klawiszami i nie chce ustępować. Jest on duży i ciężki, stoi oddawna nieruchomo w rogu pokoju, a za nim na wysokiej podstawie rozłożysta palma. O, z nim trzeba się liczyć; czterech ludzi wnosilo go tu kiedyś, coś więc dla niego znaczy takie jedno małe dziecko. Przytem fortepian jest już teraz stary i zgryźliwy. Małe, fruwające cichutko jak kawałki żółtej bibułki, mole zagnieździły się w jego wnętrzu i zjadają powoli delikatną skórę, którą oklejono młoteczki mechanizmu, a czarny kolor świadczy o jego posępnem usposobieniu. Nieraz też w nocy fortepian stęknie głucho. To jakaś struna odzywa się sama.

Teraz kiedy dziewczynka gra, widzi w czarnej ścianie fortepianu, swoją własną twarzyczkę. Ciemna jest ona i daleko się chowa w odbiciu, a obok niej brzęczy profitka na pustym lichtarzu. Ach jakże ciężko jest grać na dużym starym fortepianie!... Ale któregoś dnia lekcja wyjątkowo się nie udaje. Nieposłuszne palce przeskakują jeden przez drugi, w pokoju robi się coraz goręcej a jedna natrętna mucha siada ciągle na spoconem czole.

Dziewczynka kiwa się w tył i naprzód dla zachęty, ale ciągle musi przerywać to, aby spędzić z czoła natrętną muchę, albo odrzucić na plecy krótkie, sztywne warkoczyki. Nagle dziewczynka ogląda się, i spostrzega, że obok na fotelu siedzi dzisiaj tylko pan. Damy dworskiej i starej lalki nie ma, bo leżą w drugim pokoju na stole, gdzie mama szyje im nowe sukienki.

I oto dziewczynka widzi, że pan się śmieje, jak ten, kto się cieszy z czyjegoś kłopotu. Dziewczynka nie lubi go od dość dawna, bo zawsze jest sztywny i nadąsany, więc też teraz wstaje po namyśle pocichutku z krzeselka, zabiera pana i wychodzi na podwórze.—Trzeba coś z nim zrobić, aby mi

nie przeszkadzał—brzydki złośnik!—myśli sobie i idzie z nim przez podwórze, nic nie widząc, że matka zaciekawiona przerwaniem lekcji, wygląda za nią przez okno.

Tuż za podwórzem przy jego ogrodzeniu, jest mała kaczka sadzawka. Stoją nad nią dwie duże wierzby a połowę wody i kawałek brzegu zarosły gęste wysokie trzciny. Po sadzawce za piękną dużą kaczką pływa całe stadko małych żółciutkich kaczuszek. Duża kaczka schyla ciągle szyję i zanurza dziób w wodę, albo zbiera nim jak łyżką zieloniutką rzęsę z powierzchni, a kacuszki usiłują ją naśladować, piszcząc jak gumowe zabawki.

Nad sadzawką dziewczynka, czując, że ją ogarnia gniew, zatrzymuje się. — Brzydki panie — mówi — niech cię kaczki zjedzą—i ciska go daleko od siebie w trzcinę na brzegu.

Pan zdążył tylko pomyśleć, że nic mu się przecie stać nie może i „szust“, wpadł w zarośla, a dziewczynka zawróciła i poszła do domu, jakby się nigdy nic nie stało. Dalszy ciąg lekcji poszedł znacznie lepiej, a po niej dziewczynka dzień cały była bardzo z siebie zadowolona. Brzydki pan, myślała sobie, on był winien wszystkiemu, dobrze że go już nie widzę.

Tymczasem pan leżał w trzcinie tak, jak go rzucono, opatry głową o najgrubszą z nich i namyślał się.—Ma się rozumieć, że tutaj nie zostanę, wkrótce wszyscy szukać mnie zaczną, a kiedy znajdą, dziewczynka będzie ukarana, myślał sobie i oglądał się naokoło. Nagle stanęła przed nim duża kaczka, a za nią wyszły z zarośla małe kaczątka.—Masz tobie—pomyślał pan,—ten potwór nieokrzesany i brudny, gotów mi jeszcze co złego zrobić, trzeba być grzecznym—i uśmiechnął się do niej pięknie, co oznaczało:—witam panią—Kaczka skinęła głową i byłaby odeszła razem z dziećmi, gdyby pan, gdy się kaczka odwróciła, nie pokazał języka najmłodszemu z kaczątek.

— Pi-pi-pi, mamol!—poskarżył się ulubieniec—ten strachal pokazał mi język!—Wtedy kaczka zawróciła nagle i za-

pytała: —dlaczego obrażasz pan moje maleństwo? — To nie pani rzecz! — odbąknął pan; wzięła w nim górę złość i powiedział to głośno. — Ach ty zuchwalcze, jesteś u nas i tak się zachowujesz! — krzyknęła na to stara kaczka, chwyciła pana za ramię dziobem tak, że się rozciągnął jak długi na ziemi i postawiła mu swoją szeroką łapę na twarzy.—Teraz dzieci śmiecie się z niego! — zawołała na małe, przyciskając złośnika do ziemi, a kaczątka zaśmiały się chórem... Potem kaczki oddaliły się, a pan leżał na ziemi.

— Już mnie szukają, — pocieszał się i usiłował wyprostować obłocone i zgniecione przez kaczkę wąsy.

Rzeczywiście po chwili matka zbliżyła się do kaczek sadzawki, dostrzegła w trzcinie pana i podniosła go z ziemi. Co jej się stało—pomyślała przytem o dziewczynce,—że rzucała tutaj swoją ulubioną lalkę? Schowam ją i kiedyś jej to przypomnę.

A pan myślał sobie: a co? przeproszono mnie, sama pani po mnie przyszła, wróć do domu i będę nadal robił swoje. Śmiał on się przytem brzydko, ale matka nie wiedziała, że lalki się śmieją, bo zapomniała już swoje dzieciństwo, więc nie zwróciła na to uwagi, a zresztą miała głowę zajętą gospodarskimi sprawami.

Poszła do domu, schowała pana do szafy z sukniami w najgłębszy kącik w pustym pudełku od gorsetu, a sama wyszła do drugiego pokoju.

— — — — —
Lato jest piękne, ale czas ucieka jak na skrzydłach i oto upłynęła już więcej niż połowa tej złotej pory roku. Dziewczynka kładzie się wcześniej spać, to też nie może zauważyć, że wieczorem niebo jest jakieś głębsze jeszcze niż przed paru miesiącami. Gwiazdy, które na niem drgają, są takie czyste i łzawe jakby płakały po kimś bardzo droгим. Oto właśnie jedna z nich, wysoko odrywa się od nieskończonego sklepienia, srebrna smuga ciągnie się za nią i gaśnie, a niebo

znów drga wszystkimi dalekimi ogniami, od których takie poważne myśli przychodzą ludziom do głowy. Po nocach cała ziemia śpi jak zwykle. Ale czasami przechodzi nad nią wiatr i wtedy ożywiają się drzewa. Wiatr jest też inny: nie jest to leniwy, ciepły wietrzyk czerwcowy, od którego łagodnie kołyszą się uspione liście. Ten, który przychodzi z daleka, z za lekko omglonego horyzontu, jest poważny, jak człowiek dojrzały. Potrząśnięte przezeń drzewa, choć nie straciły jeszcze ani jednego liścia, szumią wolno i doniośle, i poważny ich głos biegnie daleko nad zamknięte domy. Czasami na niebie zjawia się chmura. Zmęczona całodzienną podróżą, przesuwająca się wolno, aż póki dowędruje do księżyca, i wtedy światło jego z ukosa, jak z za zasłony, pada na rozległe płaskie pola, ściemnia się na nich i rozjaśnia, aż póki chmura dalej przepłynie. Takie są noce ku końcowi lata... A kiedy troszeczkę już późniejszy ranek zaświta, i obudzą się ptaki, wszystko wraca do dawnego wyglądu, tak jakby się nic nie zmieniło na ziemi. Ale noc wie, że lato ma się już ku końcowi.

Tymczasem muzyka jakoś dziewczynce nie idzie. Od czasu, kiedy pozbyła się pana, nic się nie poprawiło. Z początku coprawda, zdawało się, że nieobecność pana trochę pomogła, ale później okazało się, że są jeszcze jakieś inne przeszkody. Prostu dziewczynkę znużył fortepian, który ze swojej strony nic nie chciał, czy nie mógł na to poradzić. Zresztą, jak wiemy, fortepian był starym grymaśnikiem, a z grymaśnikami trudna rada.

Dziewczynka nieraz myślała nad tem, co to jest muzyka. Ale widocznie nie miała talentu, o którym wspominała matka, bo cierpliwość jej zaczęła się wyczerpywać. Przytem tego roku miała pojechać do szkoły do miasta, i trzeba było jeszcze raz powtórzyć to, czego ją matka uczyła w zimie. Wiesz co, mamo, powiedziała któregoś dnia:—nie mogę sobie jakoś poradzić z fortepianem, jak będę starsza, może mi lepiej pójdzie.—I lekcje muzyki się przerwały.

Teraz wróble trzepoczące się w małych kałużach przed domem i czepiające się z hałasem żółtych gałązek dzikiego wina, co zwisały naokoło okien salonu, nie słyszały już monotonnych wprawek fortepianowych. Ale te, które zaglądały do stołowego pokoju, zauważyły zato, że matka i dziewczynka siedzą przy sobie całymi godzinami.

Stoliczek dziewczynki przysunięto blisko maszyny do szycia, co stoi tuż pod oknem. Matka szyje, a dziewczynka pisze albo czyta. Czasem oddaje matce książkę lub kajet a wtedy wstaje sama i coś mówi, ruszając szybko ustami, bo przez szybę nie słychać głosu. Dziewczynko, dziewczynko!—pukają śmielsze wróble dzióbkami w szybę—wybiegnij do nas choć na chwilę, pobiegaj za nami, pobawimy się chętnie w chowanego, bo coraz zimniej jest na dworze i nie możemy już się tak spokojnie kołysać na gałązkach jak dawniej. A jeżeli ci matka pozwoli, zaprowadzimy cię nawet daleko w pole, tam pod niskimi chmurami, mokry od drobnego deszczu, stoi zapomniany straszek. Wiatr targał na nim całą noc starą kapotę, jego figura zrobiona z kija od miotły, pochyliła się od tego na bok, a czapka kołysze się na końcu drąga, jak pusty garnek powieszony na płocie.—Ale dziewczynka nie słyszy, co mówią wróble.

Matka obraca ciągle kółkiem maszyny, szyjąc jej pierwsze szkolne sukienki, a dziewczynka się uczy. Wreszcie wróble znudzone uciekają do ogrodu; tam między gałązkami pełnymi kolorowych jabłek i gruszek, zapominają prędko o tem, co widziały i gonią się nanowo jak opętane; ćwierkają, skaczą po żółtej trawie, a mały promyczek słońca błyska co chwila z za chmur i odbija się w ich ciemnych ciekawych oczkach.

— — — — —
Dzień odjazdu dziewczynki do szkoły coraz się zbliża, blade słońce o tem wie i wróble i duży pies podwórzowy,

któremu sama kiedyś to powiedziała, aż wreszcie pewnego wieczoru, kiedy woźnica jak zwykle jadł kolację w kuchni, ojciec kazał mu przygotować nazajutrz duży powóz w drogę do miasta. Tego samego wieczoru dziewczynka przejrzała swoje zabawki. Nie zajmowała się nimi od dłuższego czasu i wszystkie wydały jej się jakieś inne. Tak, jakby sobie zupełnie nic nie robiły z tego, że ona jedzie na długo. Kredens z odklejoną nogą stoi krzywo na podłodze tak jak dawniej, lalki z zamkniętymi oczami leżą tak, jak je ułożyła w żelaznym łóżeczku. Ale cóż to tam się płacze między połamaną kuchenną półeczką i starym wózkiem na dwóch kółkach. Prawda, to skrzypce zrobione przez Macieja. Dziewczynka bierze je do ręki i przypomina jej się chłopiec, a potem pan, ale chłopiec niedobry gra sobie pewno tam daleko w mieście, a nie przyszedł ani razu wtedy, kiedy dziewczynka tak się nad fortepianem męczyła. Więc dziewczynka zaczyna myśleć o panu. Biedak pewno się dawno rozpuścił w kaczej sadzawce. I żałuje go, żałuje grymaśnego pana, bo nic nie wie o tem, że leży on spokojnie w szafie matczynej.

Nadeszło jutro, a z nim dzień odjazdu. Dziewczynka z rodzicami siada do powozu, rzeczy w walizkach są już dawno zapakowane i związane z tyłu. Dziewczynka patrzy teraz z żalem na dom, ogród i pola. Nie będzie ich oglądała tak długo. Pies podwórzowy skacze wokoło niej, kręcąc ogonem, a potem biegnie do koni, i coś im naszczekuje. No, chodź, dziecko,—mówi matka, a dziewczynka rada nie rada, wsiada do powozu, Maciej siada na koźle i zbiera mocniej lejce w ręce, ale starej kucharki jakoś dotąd nie widać. Pobiegła do ogrodu i prosiła, aby na nią chwilę zaczekać. I kiedy już wszyscy w powozie, okryci skórzanym fartuchem od błota, niecierpliwą się na dobre, nadbiega ona zdaleka z koszykiem, pełnym czerwoniutkich jabłek. Ojciec bierze koszyk pod swoją opiekę, kucharka się żegna i słucha uważnie, co jej matka mówi, bo rodzice wrócą dopiero za parę dni. Aż wreszcie konie ruszają. Dom zaczyna się oddalać,

robi się coraz mniejszy, tylko aleja do rzeki ciągle jeszcze jest widoczna. I wtedy dziewczynka zaczyna płakać: sama nie wie dlaczego, ale płacze głośno, a matka ociera jej twarz chusteczką i raz po raz całuje w czoło.

IV.

Pensja, gdzie rodzice umieścili dziewczynkę, tuż pod wielkim miastem. Zbudowano ją trochę z boku tej samej szerokiej drogi, którą można dojść od miasta do białego domu. Kiedyś był tutaj stary dom, po którym nie zostało już ani śladu, prócz dwu posągów w ogrodzie nad stawem. Na miejscu domu wznosi się duży jasny bunynek, otoczony drzewami. To jest właśnie pensja. Z okien drugiego piętra, gdzie mieszka przełożona i niektóre nauczycielki, widać zdaleka miasto, most na tej samej rzece, co płynie za ogrodem rodziców dziewczynki, a ktoby się dobrze wychylił, ten zobaczyłby krętą szeroką drogę, jak daleko zawraca na prawo, oddalając się od miasta, z tym właśnie zakrętem, jest już tylko cztery razy tyle stąd do białego domu, jak od pensji do miasta. Jesienią niebo czasami jest tak przezroczyste, kiedy świeci słońce, że można dojrzeć stąd z pensji słup na zakręcie. To znak drogowy. Ale teraz drogi podziwiać można tylko niekiedy. Zaczęły się już lekcje i dom cały wre do popołudnia głosami pensjonarek po każdej skończonej godzinie. Potem dźwięczy dzwonek, robi się cichutko jakby makiem zasiał, i figury w ogrodzie pochylone nad wodą patrzą na pływające żółte liście, albo słuchają turkotu od drogi.

Dziewczynka lubi figury w ogrodzie. Kiedy rodzice przywieźli ją tutaj i zostawili, poszli z nią tam na poże-

gnanie. Przed figurami jest ławka kamienna i tam usiedli z zasmuconą dziewczynką. A wtedy figury były też smutne. Jedna z nich, która patrząca białymi powiekami przed siebie, trzyma w pochylonej ręce książkę, jakby powtarzała słowa matki: — pamiętaj, drogie dziecko, ucz się dobrze, abyś nas nie martwiła. — A potem rodzice odjechali. Przełożona, trzymając ją za rękę, odprowadziła ich do bramy, a potem pozwoliła dziecku pójść jeszcze pochodzić po ogrodzie. Wtedy dziewczynka wróciła do ławki z figurami i płakała dłużej, niż przy odjeździe z domu. Rybki pluskały się w wodzie, blade słońce odbite w niej, świeciło we łzach spadłych na świeżą szkolną sukienkę.

Ale to trudno, kto pierwszy raz na dłużej odjeżdża z domu, musi się zmartwić, a potem powoli przyzwyczai się i do pensji i do codziennych lekcji.

Tak się stało i z dziewczynką.

Kiedy dłużej pobyla w szkole, przyzwyczaiła się do tu-tejszego trybu życia.

A dni jesienne leciały jak na skrzydłach. Pierwsze z nich przelatywały razem, z purpurowymi i złotymi liśćmi, w koronach cieniutkich pajęczyn. Te były piękne jak fantastyczne twarze, malowane czasami na starych obrazach. A później przyszły inne, co uderzały ciągle o szyby okien, jakby chcąc się koniecznie dostać do wnętrza szkolnego budynku. Rozwiałały one po całym ogrodzie kupy opadłych skręconych liści, kołysały drzewa, jakby się na nich huśtały jakieś ogromne ciężary, albo powoli twarze im ciemniały i dni zaczynały płakać. Wtedy rybki smuciły się i chowały na dno, pnie drzew wyglądały jak obmokłe czarne parasole, obrócone prętami do nieba, a szyby dźwięczały cichutko, jakby kto na nie sypał drobną kaszę.

Wszystkie te dni powtarzały dziewczynce ustami nauczycieli: — ucz się dziecko, abyś nie martwiła rodziców, — bo nauka pozwoli ci kiedyś zrozumieć wszystko. I dziew-

czynka się uczyła, a dni leciały coraz prędzej, były coraz krótsze i smutniejsze, płacząc od świtu do wieczora.

Aż któryś z nich zniknął w ogrodzie, kiedy już lampy w korytarzach szkolnych paliły się jasno i za szybami nie było nic prawie widać. Odszedł taki smutny, że łyż jego wiślały na najdrobniejszych nawet nagich gałązkach.

Nazajutrz, kiedy wszyscy wstali, jaśniało znowu słońce. Ale tym razem od jego spojrzenia zaiskrzyła się cała ziemia. Leżały na niej zamarzłe łyż wczorajszego dnia i migotały radośnie, bo patrzył na nie pierwszy słoneczny dzień zimowy, jako na pamiątkę po swoim starszym bracie. — Płakałeś? — myślał on sobie, — nie mogłeś być taki wesoły jak ja? Ale jeżeliś zniechęcił do siebie ludzi, ja zato pokażę im, co warte są łyż twoje. — I słońce podnosiło się coraz wyżej na niebie, łyż migotały jak najpiękniejsze brylanty, a drzewa obwieszane niemi, wyglądały śliczniej od najwspanialszych choinek.

Tak płynął czas dla całej ziemi, a dziewczynka uczyła się w szkole, czekając niecierpliwie Bożego Narodzenia, bo wtedy wiedziała, że pojedzie na dłużej do domu. Matka, odwiedzając ją często, mówiła jej zawsze, co się dzieje w domu. Ale matka przyjeżdżała na krótko i musiała prędko powracać. — Czy wiesz, mamó — zapytała ją kiedyś dziewczynka, — że uczę się znowu grać na fortepianie? — I opowiedziała, jak to się stało. — Oto nauczycielka muzyki grała tak pięknie walczyki i tak wszystko łatwo było spamiętać, że zapragnęła na nowo uczyć się grać. Tylko walczyki to zupełnie co innego, same dźwięczą w głowie, czy je kto o to prosi czy nie, nie tak jak muzyka chłopca, co jej tyle sprawiła kłopotu.

Dziewczynka nie powiedziała tylko matce, bo może zapomniała, jednej rzeczy. Kiedy ujrzała w szkole fortepian i usłyszała nauczycielkę grającą, stanęły jej jeszcze raz w pamięci chłopiec i jego muzyka. Powiedziała więc nauczycielce o takim graniu, co to — jakby się myślało na fortepianie. Ale stara nauczycielka może nie rozumiała dziecka albo

nigdy takiego grania nie słyszała. — Wielcy ludzie nazywani muzykami, napisali dla nas to, co można kupić wszędzie, gdy się ma ochotę i umie grać. Są to nuty, — odpowiedziała ona dziecku. Wszyscy je znają, zachwycają się niemi, trzeba tylko, grając, pilnie uważać, aby się nie pomylić w takcie. Jak dorośniesz moje dziecko, będzie miło twoim rodzicom, gdy zagrasz przy gościach coś ładnego. To powinna umieć każda dobrze wychowana panna, — mówiła dalej stara nauczycielka i wybijała przytem ciągle takt kościaną rączką swej lornetki.

Więc dziewczynka uczyła się grać tak, jak jej mówiła nauczycielka. Fortepian szkolny jej nie przeszkadzał. Był to stary instrument o poźółkłych klawiszach, strojony raz na miesiąc. Nic go nie obchodziło tyle wygrywających na nim codzień dzieci. Trzeszczał wszystkim jednakowo gipsowemi pedałami, a duże popiersie, stojące nad nim na półeczce patrzyło się przed siebie oczami zrobionemi z dwóch dziurek.

Pewnego dnia w święto, przyszedł na podwórze szkoły wędrowny grajek. Grał dość dobrze na skrzypcach, więc pozwolono mu wejść do ogrodu, gdzie się bawiły wszystkie pensjonarki. Dziewczynka, słysząc skrzypce, przysunęła się bliżej. Coś się jej przypomniało, ale kiedy grajek przegrał już dużo różnych rzeczy, a nie było tam nic, coby było podobne do gry chłopca, dziewczynka spytała go, czy to jest wszystko, co się gra na skrzypcach. — Prawie wszystko, panienko — odpowiedział na to grajek, — ja gram bardzo dużo, umiem wszystko na pamięć i słuchają mnie chętnie nawet wielcy panowie, bo wybieram rzeczy najpiękniejsze i najbardziej znane. — A co pan myśli podczas grania? — pyta jeszcze dziewczynka. — Myślę, panienko, o tym kawałku chleba który zarobię od słuchających — odpowiedział grajek i wyciągnął czapkę, prosząc o parę groszy.

A więc chłopiec mówił nieprawdę, pomyślała wtedy dziewczynka. Nikt nie gra tego, co się myśli. — Od tego czasu

nie wspominała już nigdy chłopca i gdyby kto ją zapytał, jak wygląda, nie umiałaby chyba opowiedzieć.

Tyczasem przeszła zima, miesiące i lata pędziły dalej, jak na skrzydłach. Dziewczynka była już starszą uczennicą, co lato jechała do domu, a jesienią wracała na pensję. Kiedyś latem, porządkując z matką w starej szafie, znalazła w pudełku „pana”. Leżał tam prosty, ciągle taki sam, nawet mole mu wąsów nie objadły. A kiedy wzięła go przez ciekawość na ręce i popatrzyła na nieruchomą maseczkę, wydało się jej, że jest podobny do pana Piotra, młodego nauczyciela francuskiego języka, dla którego wszystkie starsze uczennice najlepiej uczyły się lekcji. Zaraz więc pobiegła do lustra, aby zobaczyć jak wygląda w dłuższej sukience, a potem, patrząc na swoją twarz odbitą w szkło, powiedziała ładny wiersz francuski.

Wtedy umiała już ona dzielić ludzi na biednych i bogatych, starych i młodych, ładnych i brzydkich. Wiedziała o sobie, że jest ładna i młoda, a rodzice jej bogaci, co ostatnio zresztą powtarzały jej często koleżanki w szkole. Kiedy więc skończyła deklamować i stała jeszcze przed lustrem, była pewną, że należy do ludzi przez wszystkich lubianych. Czy też pan Piotr myśli to samo, biegło jej przez głowę. I po chwili wzięła znów na ręce „pana”, co był tak do niego podobny.—Cóż to, przypomniałaś sobie swoje lalki?—rzekła matka, wchodząc do pokoju. Dziewczynka zarumieniła się, bo nosiła już prawie długą sukienkę i nie chciała, aby ją posądzano o bawienie się lalkami.—Nie mam—odrzekła—niegdyś wyrzuciłam mu krzywdę niesłuszną i teraz chciałabym, żeby tego nie pamiętał,—dodała wesoło.

Od tego czasu dziewczynka brała czasami „pana” na ręce, nazywając go zawsze Piotrem, niosła ze sobą do ogrodu i opowiadała mu tam wszystko, co myślała o nauczycielu języka francuskiego. „Panu” było wszystko jedno, jak go nazywano, bo stało się to, czego pragnął. Mały grajek był zupełnie zapomniany. Jedno tylko trapiło dotąd „pana”: wie-

dział, że dziewczynka umie grać na fortepianie, może więc jeszcze pamięta cokolwiek z melodji chłopca? „Pan” wiedział, że stara melodia przypomina się czasami i wtedy z ludźmi dzieją się dziwne rzeczy. Bo zanim się jeszcze dostał do rąk dziewczynki, dowiedział się od niemłodej robotnicy w fabryce lalek, co może nawet stara melodia; niegdyś kobieta owa była młodą i szczęśliwą, a wtedy wiodło jej się lepiej. Ale potem straciła wszystkich najbliższych, a nędza zmusiła ją, aby wzięła się do ciężkiej pracy. Całe dnie, aż do późnego wieczora musiała pracować w gorącu i zaduchu, otoczona stosami gotowych już lalek, dla których jej zręczne palce szyły niezmordowanie różnobarwne kostjумы. „Pan”, leżąc przy niej na stole, nim go odesłano do sklepu, widział nieraz łzy w zmęczonych oczach. Ale wtedy stara robotnica nuciła sobie dawną melodię, melodię swoich szczęśliwych dni i to ją jakby cudem zachęcało do pracy. To wiedział i pamiętał „pan”, więc dopiero wtedy uczuł się zupełnie zadowolonym, kiedy dziewczynka zaczęła mu opowiadać o swej nauce muzyki na pensji. Śpiewała mu po kolei wszystkie walczyki, prześpiewała ćwiczenia i wprawki, a żadna z nich nie była melodią chłopca.

Pewnego dnia rzekła dziewczynka:—a możeby pan Piotr zechciał ze mną potańczyć?—A kiedy na to zaproszenie „pan” jakby kiwnął głową z najuprzejmiejszą w świecie miną, wzięła go do salonu na tańce. Taniec z dorastającą dziewczynką jeszcze bardziej powiększył dumę „pana”. Gdyby nie sztywne nogi, które się tylko wlokły po podłodze i korpus wypchany trocinami, byłby odtąd pewnym, że jest żywym mężczyzną. Był więc zachwycony, gdy się z nim obracano po lśniącej podłodze salonu, chociaż starał się nie okazywać tego po sobie. Podtrzymywany wpół przez schyloną nad nim dziewczynkę, trzymał tylko głowę sztywno do góry i ruszał zlekka wąsami, jakby mówił do siebie:—człowiek nigdy nie pragnie czegoś na próżno.

Kiedy dziewczynka tańczyła w salonie, na progu stała matka. Dziewczynka podbiegła do niej z panem i oboje

złożyli przed nią ukłon taneczny.—Przypominam sobie z panem moje lekcje tańców, mamó—rzekła dziewczynka,—bo samej przecie za nudno tańcować.

— Właśnie chciałam ci powiedzieć—rzekła na to matka—o miłej dla ciebie niespodziance. Sąsiedzi na imieniny urządzają u siebie bal dla młodzieży, jutro pojedziemy razem do miasta, aby ci wybrać jaką ładną sukienkę.

Odtąd dziewczynka mówiła z panem tylko o nadchodzącym balu. Będzie tam cała orkiestra, a między gośćmi wielu dorosłych panów w czarnych balowych strojach. Znała ich prawie wszystkich i wymieniała po kolei, ale żaden z nią jeszcze nie tańczył, tak jak to niedługo nastąpi. Ona sama włożyła po raz pierwszy prawie zupełnie długą suknię, a na szyję—piękny naszyjnik, kupiony niedawno przez ojca. Pan słuchał jej opowiadań, ale milczał i nie miał już na twarzy tak uprzejmej miny, jak przedtem. Wiedział on jeszcze jedno, co zapamiętał sobie też z czasów pobytu w fabryce od jednej starej, wspaniałej, wiele już razy przerabianej i odświeżanej tam lalki że:—ludzie również łatwo zapominają o nas, jak przedtem kochali, kiedyśmy im wiele zastępowały.—Te słowa wspaniałej doświadczonej lalki dźwięczały teraz ciągle w porcelanowej głowie pana, który tak się w ostatnich czasach przyzwyczaił do zaufania dziewczynki, że radby o nich nazawsze zapomnieć. Na balu chciałby, aby dziewczynka z nim tańczyła tak jak niedawno w salonie, czuł się do tego zupełnie odpowiedni, a tu wiedział, że tak nie będzie. Myśli te tak mu zmieniły twarz, a zresztą były to pierwsze jego i ostatnie myśli, że dziewczynce zajętej przygotowaniami do prawdziwej zabawy, wydał się śmiesznym.

— Zniszczonaś już mocno moja dziecinna lalko,—powiedziała mu kiedyś, zostawiając go na ławce w ogrodzie.

A kiedy później trochę przechodziła tamtędy nieopodal, dzieci ogrodnika zbierały maliny.

— Dzieci, chciecie tę starą lalkę—zawołała na nie dziewczynka a zamorusane dzieci podbiegły z wesołemi krzykami.

„Pan dostał się najstarszej córce ogrodnika, ale braciszek pozazdrościł jej pięknej zabawki, kiedy więc go trzymała na ręce, podbiegł do niej znienacka i chwycił pana mocno za nogę. Dziewczynka, broniąc go, przytrzymała go za drugą, dzieci zaczęły się szamotać i nagle trach—chłopiec urwał panu nogę. Dzieci zaczęły się gonić, chłopiec uciekał a dziewczynka aby ukarać napastnika, zamierzyła się na niego lalką. Ale lalka zamiast w zwinnego chłopca trafiła głową w pień drzewa i głowa rozprysła się na drobne kawałki. Tak zakończył życie pan, który długi czas uważał się prawie za człowieka.

W parę dni potem bal się odbył. Dziewczynka tańczyła na nim prześlicznie, bo niedarmo uczono ją tego tak długo na pensji.

Odtąd stała się dorosłą panną. Lalki nigdyby jej teraz nie powstały w głowie, nie potrzeba więc już o nich wspominać. Wkrótce taka sama zabawa odbyła się w białym domu. Rodzice chcieli dogodzić jedynaczce, a zresztą wiadomo przecie, że w domu gdzie jest młoda panna, muszą się odbywać od czasu do czasu zabawy. I zabawy się odtąd odbywały, a biały dom zmienił się od tego trochę. Nie był on z tego zadowolony, tylko wróble cieszyły się bardzo; daleko więcej koni jadło teraz owies w stajniach, a gdzie konie jedzą więcej, tam też i wścibskie wróble lepiej pożywić się mogą.

V.

Pod pochmurnem wieczornem niebem stoi w mieście wysoki dom. Blaszane kapturki na kominach obracają się, skrzypiąc, wiatr wpada w głębię małego kwadratowego podwórza i mocije się z otwartem oknem sieni, a za szybami świecą jeszcze lampy i lampki aż do samego dołu oficyn. Dom pracuje do późnego wieczora, w ciasnym podwórku odbijają się hałaśliwie wszystkie głosy. Z kuchen dobiega szczerkanie naczyń, gdzieś turkocze maszyna do szycia, a nisko w suterenie szewc wybija pracowicie młotkiem swój zwykły takt.

Trwa to jeszcze parę godzin, wiatr tymczasem ustaje, chmury się przerzedzają, na niebie, jakby podrzucana na falach, miga między niemi gwiazda. W wielu oknach zrobiło się już ciemno i cicho, tylko stukanie szewca słyszeć bez przerwy.

Aż oto nagle, gdzieś jakby nad domem rozlega się cicha pieśń.

— To ten młody gra—mówi szewc i przez chwilę nasłuchuje, zamyślając się po swojemu. A skrzypce stają się głosem ludzkim, tylko że głos ten jest cudownym śpiewem. I śpiewają skrzypce o wszystkim, co mieszka w sercu grajka, niby o czarodziejskim ogrodzie, ukrytym głęboko przed oczami ludzi.

— Pójdź no, żono, powietrze z ogrodu aż tutaj pachnie—

mówi szewc i wychodzi na próg swojego mieszkania. Ale szewc się myli, zapach drzew nie dostał by się tak głęboko między mury, ktoś inny poczułby tylko brzydką woń skór, jaka się unosi przez okno z jego warsztatu. To skrzypce teraz właśnie mówią o drzewach, opowiadają o wielkich topolach, z którymi mocije się wiatr, o małych kwitnących drzewach wiśniowych i o pachnących trawach, na których chwieją się motyle ze stulonemi trwożnie skrzydełkami.— Pójdę kiedy i podziękuję mu—myśli sobie szewc, stojąc na progu. Coprawda gra on nie dla nas, bo któżby dla nas grał, ale raźnie pracować przy takiej muzyce,—poczem wzdycha, siadając znowu na okrągłym zydlu i poprawiając sobie kulę z wodą przed świeczką.

A muzyka w górze trwa jeszcze długo. Wysoko w małym pokoiku gra na skrzypcach chłopiec. Wiele czasu upłynęło od tej chwili, kiedy był w białym domu na wiosnę. Teraz to już dorosły chłopiec. Ale czegoż on nie przeżył, nim tak wyrósł?

Chłopiec przestaje wreszcie grać, siada i myśli. I przypomina mu się wszystko od czasu tamtej jego pierwszej wiosny, tak, jakby mu to opowiadał ktoś dobrze znajomy. Głos opowiadania płynie, dzwięczy niby melodja, więc chłopiec znów powraca do skrzypiec. Policzki mu płoną, palce jakby się zrosły z instrumentem, a posłuszne struny wiernie pomagają jego pamięci.

— Kiedy byłem małym—śpiewają znowu skrzypce—patrzyłem na ziemię i ludzi jak na piękny obraz, ale nie miałem nikogo, kto by mi go wytłomaczył. Chłopcy wiejscy łowili ptaki w sidła, ludzie ścinałi drzewa i deptali kwiaty, woźnice bili konie, a raz widziałem, jak prowadzono człowieka do więzienia. Nie biegłem wtedy za nim z innemi, aby ciskać kamieniami, nie bawiłem się złapanemi ptakami, ani nie męczyłem młodych kociąt. Zdawało mi się, że to robi szkodę pięknemu obrazowi, na który patrzyłem, tylko nie wiedział dlaczego i nikt mi tego nie wytłomaczył. A kiedy

wziąłem do ręki ojcowskie skrzypce, pokochałem je odrazu. Słyszałem w nich matkę i ojca i cała ziemia zaczęła mi mówić przez nie po swojemu. Nie trudno mi było grać, bo słuchały mnie ptaki i drzewa i podpowiadały wszystko. Ale kiedyś chciałem zagrać staremu krzyżowi przy drodze i wtenczas zasmuciłem się, bo skrzypce wtedy zapłakały tak, jak nigdy nie płaczą drzewa i kwiaty i znowu dowiedziałem się, że nie mam nikogo prócz nich, one się smucą. Odtąd myślałem, dlaczego na widok Boga, rozplakały się skrzypce. A kiedy poszedłem w świat, była zima, Bóg spał na krzyżu, otulony śniegiem, przy drodze zmarzniętej i twardej jak żelazo. Wtedy spotkałem biały dom i na widok ślicznej dziewczynki przypomniały mi się znów wesołe rozmowy drzew i ptaków... Dużo przeszło czasu od tej chwili. Może nikt nie wie o tem, że pamiętam o białym domu. Nie wracałem tam, bom postanowił przedtem wszystko zrozumieć. A teraz mogłyby mi o nim powiedzieć tylko wróble, co świergocą po dachach, bo pewno i tam bywają albo gwiazda, która z wysoka go widzi. Zrozumiałem tymczasem smutek ludzi i to jest moja praca aż do dzisiaj. Bo ludzie często o smutku nawet nie wiedzą, ale wtedy jest on tembardziej na twarzy Boga, przed którym płakały moje chłopięce skrzypce. A przecie nad wszystkim jest wielkie jasne słońce, tylko ludzie zamało patrzą w nie, chodząc z głowami schylenymi ku ziemi. Trzeba aby je wyżej podnosili, wtedy wyższy też będzie ich smutek i dojrzy słońce, co dla wszystkich świeci.

Czyżbyś mnie rozumiała teraz, dziewczynko?—mówiły dalej skrzypce. Słuchałaś uważnie mojej dziecinnej gry, w której rozmawiały drzewa i kwiaty. Chciałem wtedy, aby białe pióro ptasie powiedziało ci, co to jest muzyka. Ale teraz, gdybym cię widział, opowiedziałbym ci o tych skrzydłach, jakie pragną mieć ludzie, patrzący w słońce... Tutaj skrzypce zaczęły mówić cichutko: jaką jesteś teraz dziewczynko, czyś nie spotkała jakiego smutku, któryby ci kazał płakać często z pochyloną głową? Posłuchaj pieśni o skrzydłach ludzkich,

ona cię uzdrowi.—Iskrzypce zaczęły śpiewać pieśń o skrzydłach.

Ogromne morze zaszumiało w nich, jakby człowiek był ptakiem i leciał wysoko nad falami, kąpiąc się w słońcu. A potem ujrzał pod sobą ziemię, gdzie krzywe wierzby i pochylone krzyże stoją nad drogami. Skrzydła same kierują się ku dołowi, na piórach lśni słońce jakby po nich spływało. I spada człowiek-ptak na swoją kochaną ziemię, po której kiedyś biegał dziecięciem, słyszy jej skargi i utrapienia. Wtedy w człowieku-ptaku otwiera się serce. Ono jest zakątkiem, gdzie dojrzały ziarna posiane przez słońce. Ziarna padają na kochaną ziemię, a serce ciągle znajduje w sobie nowe... Człowiek skrzydlaty chodzi po ziemi jak anioł i sieje.

I nieraz przyjdzie burza, albo zło niszczy wyrosłe serdeczne ziarna. Wiele z nich umiera, chociaż były do życia przeznaczone. Ale tyle ich posiano, że w zbożu, które ludzie na chleb zbierają znajdzie się ich zawsze trochę. A kiedy człowiek je taki chleb, to podnosi wyżej do góry głowę i smutki jego stają się wyższe a pragnienia piękniejsze. Nie wie często komu za to dziękować. Ale od tego, co potem uczyni, raduje się ziemia.

Chłopiec skończył grać, podszedł do okna i długo patrzył w głąb podwórka. Czas jakiś dobiegało jeszcze z dołu stukanie szewckiego młotka. A potem zrobiło się tak cicho, jak tylko się robi nad ranem, kiedy na wsi już drugie kury pieją. Niebo w górze było czyste zupełnie, tylko gwiazda, świecąca przedtem w obłokach, przyciąła i ledwo drgała.

Z za dachu wystawał jeszcze mały rożek księżycy, a świeży wietrzyk, wpadając w głąb podwórza, kołysał wolno skrzypiące okno ziemi.

Aż wreszcie przypomniało się chłopcu, że jest młodym znanym w mieście skrzypkiem i ma jutro wieczorem grać pierwszy raz na publicznym koncercie. Uczył się oddawna tego, co miał grać, ale teraz wszystko zapomniał. Tak długo przecie skrzypce i on stanowiły jedno, że nie było tam już miejsca na coś innego.

VI.

Nazajutrz w dużej sali koncertowej woźni zapalali wieczorem światła. Chodzili przytem z hałasem pomiędzy krzesłami, przesuając niektóre i ocierając z kurzu. Krzeselka dalszych rzędów stały cicho i cierpliwie a fotele bliżej estrady poskrzypywały pełne zarozumiałości jak zwykle.

— Czy nie wiesz pan?—zapytał sąsiada jeden z nich, noszący na grzbiecie złożoną tabliczkę stałego właściciela,—co dziś będzie grane na koncercie?

— Ach, sprzykrzyło mi się już to wszystko, — odparł tamten.—Ludzie, którzy siadają na nas, uważają, że powinniśmy ich zawsze cierpliwie nosić, doprawdy niedarmo mnie to gniewa.—Zupełnie słusznie,—zaskrzypiała czerwona, wyściełająca go, skóra. Jestem już stara i chcę, aby mnie ludzie zaczęli szanować, a tu ani rusz, pamiętasz w składzie, gdzie mnie kupiono, jakiś stary kawałek skóry z wytartymi złociami cieszył się takim poważaniem...

— Ach dajże już spokój z swoją odwieczną historją—przerwał fotel — dopóki stanowisz jedną całość ze mną, to powinno ci wystarczyć. Podobno dziś ma grać jakiś młody skrzypek—przerwał fotel z tabliczką,—był tu dziś rano, kiedy sąsiad drzemał.

— Najgorzej z temi młodem, odparł tamten—każdy ma się za coś nadzwyczajnego, a przecież my dźwigamy tych, od któ-

rych zależy cała pochwała. Gdyby wygodnie nie siedzieli, napewnoby nie chciało im się słuchać do końca wszystkiego...

Wtem jeden z woźnych zapalających światło, przechylony z górnej galerji upuścił na dół swój kij do zapalania. Kij spadł z hukiem na rozmawiających zarozumiałców i każdemu z nich porządnie się oberwało. Wtedy dopiero ucichły, trzeszcząc jednak od czasu do czasu z niezadowolenia. Tymczasem w sali było już zupełnie jasno. Odbierający bilety stanęli u wejść i publiczność zaczęła powoli napływać. Między innemi byli też rodzice z dziewczynką oraz kilkoma młodem panami. Jakim sposobem się tutaj znaleźli? Otóż ojciec, wiedząc, że dziewczynka oddawna nie pytała o chłopca, kupił bilety na dzisiejszy koncert, chcąc się przekonać, czy córka sobie czego nie przypomni. Za chwilę publiczność ucichła. Zaczął się koncert: grała doskonała orkiestra, potem znana śpiewaczka zyskała sobie głośnie oklaski zaśpiewaniem kilku piosenek. Aż wreszcie wszedł na estradę chłopiec... Ojciec patrzy teraz uważnie na córkę, rozmawiającą ze znajomemi, ale ta pomimo, że spojrzała na skrzypka, nie poznała go wcale. — Czy wiesz, że ten nieznany grajek będzie grał swój własny utwór — ogród letni? — zapytał po chwili ojciec! — Ach pewno coś takiego, czego trzeba będzie słuchać tylko przez cierpliwość — odparła córka, a młodzi panowie skwapliwie jej przytwardzali. Grajek nim zaczął grać, obrzucił przedtem spojrzeniem całą salę. Gdzieniegdzie dostrzegł skierowane na siebie lornetki i zmarszczył lekko brwi. — Ładny — powiedziała dość głośno pewna pani do swej sąsiadki, ale niemłody człowiek, siedzący za niemi, syknął cicho, co miało znaczyć, że teraz się nie rozmawia.

Rzeczywiście chłopiec był ładny. Ciemne oczy jego patrzyły z pewnością przed siebie i nie znać w nich było ani cienia zakłopotania. Po chwili grać zaczął...

— — — — —
Wszystko, co rośło w ziemi, dojrzało w promieniach letniego słońca, opowiadały jego skrzypce; dojrzały drzewa,

dojrzały też złe i dobre trawy, każda roślina wydaje swoją woń, wonie mieszają się i płyną w powietrzu jak niewidzialne pasma. A pośrodku ogrodu stoi człowiek, co nie może się cieszyć rozkwitem całej ziemi, tak jakby chciał. Głęboka zmarszczka przecina mu czoło, wie on, że w głębi ogrodu osłonięte drzewami płynie źródło i on musi tam dojść. To źródło, z którego zaczerpnie zrozumienie całej kwitnącej ziemi, na której niewszystko jeszcze złe umie odróżnić od dobrego. A słońce pali, upał cięży na ramionach. Co człowiek skieruje się w jedną stronę, już źródło dzwięczy gdzieś indziej, jak jakby się bawiło w chowanego. Radzi się człowiek swego rozumu, ale rozum jest senny i leniwy, radzi się serca, ale tam tętni i przelewa się gwałtownie krew, jakby się chciała co chwila na wolność wydobyć. Aż przypomina sobie, kiedy już uczuł się prawie bezradnym, swoją pieśń, pieśń, jaką każdy człowiek słyszy w chwili swoich narodzin. To pieśń o tem, do czego każdy człowiek jest przeznaczony. Przypomina ją sobie z trudem, powoli, bo wiele czasu upłynęło od chwili, kiedy ją słyszał. Ale pamięć się sili coraz owocniej, rozum ożywia, serce bije coraz spokojniej i pieśń jest przypomniana. I wtedy poznaje człowiek, że z końcem pieśni, skończy się i jego droga do zaczarowanego źródła. Wie już teraz, że pieśń to całe jego życie, a źródło to ów rzut oka na wszystkie swoje czyny, kiedy cała ich księga ma się zamknąć niedługo na zawsze. Człowiek wie to i rusza przez ogród tak, jak to mu było przeznaczone. A wtedy odzywa się nad nim melodia, która wyraźnie mówi, co to jest smutek i szczęście ludzkie i wtóruje odtąd jego własnej pieśni.

Chłopiec skończył... nie widział podczas gry słuchających, bo przed oczami miał to, co grał. W ów wieczór samotny w swoim pokoju, zdecydował się nie grać żadnej z powszechnie znanych rzeczy. Nie chciał powtarzać tego, co już powiedziano. Opowiedział więc to, co myślał, a ludzie, gdy skończył, siedzieli cicho jakby ich kto zaczarował. Po-

tem dopiero kiedy upłynęła spora chwila, pomyślano o oklaskach. Huczały one pod sufitem wielkiej sali, huczały jeszcze, gdy niektórzy już wychodzili. I od tego wieczora chłopiec został sławą w swoim mieście, chociaż stała się jedna rzecz, o której ludzie nie wiedzieli. Dziewczynka nie poznała w sławnym skrzypku biednego chłopca ze wsi, a on w pięknie ubranej pannie nie zauważył małej dziewczynki z białego domu.

Od kiedy chłopiec stał się sławnym, w pokoiku jego, u szczytu wielkiego domu spotykały go różne niespodzianki. Nazajutrz po koncercie odwiedził go pierwszy jego nauczyciel, który go uczył jeszcze za lat dziecinnych. Już kiedyś przepowiedział mu on wielką przyszłość. Teraz, odwiedził go sam i zmęczony wieloma piętami siedział na wygodnym krześle, z rękami opartymi na lasce; przed nim stał chłopiec i słuchał go uważnie.

Nauczyciel był mądrym człowiekiem. Całe jego młode życie upłynęło mu na marzeniach o wielkiej sztuce. Ale los sprawił inaczej; musiał się wziąć do dawania lekcji aby zarabiać. Jednak zawsze pozostał wierny swoim myślom. Szukał w tych, których uczył, wielkiego artysty. Tylko że wśród wielu uczniów, jacy mu się przewinęli przed oczami, nie znajdował takiego. Jedni pragnęli copędzej sławy i powodzenia, inni urodzili się już zarozumialcami, inni jeszcze pracowali nad muzyką jak sumienni rzemieślnicy. Ludzie różnie ich potem ocenili, ale nauczyciel wiedział dobrze, że ludzie często się mylą. Dopiero chłopiec przypomniał mu własne młode lata. Przy nim, stary już muzyk, uczuł się nanowo pełnym życia artystą. Więc uczył go tak, jak nie uczył jeszcze nikogo. Powierzał mu swoje myśli, których ciężkie życie nie zdołało mu zabrać. A kiedy dostrzegł, że chłopiec będzie grał lepiej od niego, nie powstydził mu się tego powiedzieć. Wiedział, że od tej chwili chłopiec pokocha go tylko jeszcze bardziej.

„Mój kochany“, mówił teraz do niego, wspierając się na

starej lasce,—wchodzisz na wielką drogę. Ale na niej tem bardziej musisz być sobą. Ludzie zażądataj teraz od ciebie wszystkiego, coś sam sobie zdobył. Ale jeśli będziesz pamiętał, że oszczędność często jest lepszą od zbytniej szczodrości,—bogactwa twe będą wzrastały zamiast się szybko wyczerpać. I będziesz mógł długo obdarzać ludzi owocami, które sam wyhodujesz.

Nauczyciel z chłopcem długo jeszcze rozmawiali. Potem żegnając się, uściskali się serdecznie. A gdy stary muzyk wyszedł, niedługo potem do mieszkania przyniesiono wspaniałe kwiaty. Służący spojrział lekceważąco na chłopca, nie spodziewając się napiwku i odszedł szybko, zostawiając mu w ręce kwiaty i elegancką kopertę. Ktoś pisał chłopcu o jego muzyce tak, jak on tego nigdy nie słyszał. Ktoś mu mówił, że kocha jego i muzykę, tak jak tego chłopcu nigdy nie mówiono, a zapach prześlicznych perfum, unoszący się z listu, zmieszał się z zapachem przyniesionych kwiatów.

I zapachy te jakby mówiły: nie wierz w to, co mówi ci stary człowiek. On też kiedyś chciał być wielkim artystą, ale niekażdy nim być może, przypadło to w udziale tobie a nie jemu, nie poto, abyś się od świata odwracał. Świat kocha sławnych ludzi, a tyś przecież taki...

Kwiaty pachniały coraz silniej, bo były ponawlekane na z ręcznie ukryte druty, a list mówił za nie pięknie i tkliwie, tak jakby czyjeś nieszczęśliwe serce prosiło w nim o wielką łaskę.

Ale gdy chłopiec, wzruszony słowami listu, chciał zagrać coś pod ich wrażeniem, skrzypce nie posłuchały go pierwszy raz w życiu. Więc spojrział chłopiec na kwiaty, dostrzegł teraz dopiero ich mękę i odsunął od siebie nieznany podarek tak, jak się odsuwa fałszywą, wyciągniętą ku sobie rękę.

Odtąd zaczął walczyć z łatwym życiem, jakie mu się ciągle nastroczało. Grywał coraz częściej wobec ludzi i widział wiele pięknych kobiet, ale zawsze ufał tylko swoim skrzypcom. One mu powtarzały całe dzieciństwo, pamiętały

o białym domu i dawnej maleńkiej dziewczynce. Jednak wiele razy nie był pewnym czy dobrze postępuje? Czasami zdawało mu się że nie może ogarnąć myślą wielu sprzeczności, jakie dostrzegał w ludziach. Młode jego serce nieraz gotowe było rzucić się naoslep za czemś, co mu się zdawało nieprzeparcie piękne. Ale wkrótce smucił się i zamykał jak zmrożony kwiat, bo spotykał złudę, która krótko trwała. I dopiero słońce melodji otwierało go nanowo. Wreszcie pewnego dnia przywitała go smutna wieść: stary nauczyciel umarł. I odwiedził go chłopiec ostatni raz, oglądał jego zapadnięte starcze usta, które miały dla niego zawsze uśmiech pogodny, widział zamknięte oczy, gdzie od migotania świec zebrały się sine cienie. Wtedy zrozumiał, czym jest dla człowieka śmierć. Nie mógł jej teraz opowiedzieć żadną melodją, bo wyobraziła mu się jako wielki spokój, którego jeszcze nie posiadał, ale był pewnym, że kiedyś to potrafi. I wreszcie potem wyjechał chłopiec w dalekie strony do kraju nazwanego ojczyzną artystów. Miał tam pozostać dłużej, o czym mówiły wszystkie gazety miejskie. Tylko gazety nie wiedziały, że zabiera ze sobą wiele teraz jeszcze trapiących i ciężkich myśli, które kiedyś dopiero będzie mógł ludziom na skrzypcach opowiedzieć.

VII.

Z każdej geografji można się dowiedzieć, że ziemia obraca się dookoła słońca. Ale kto wychodzi z mieszkania na słońce i mówi:—ach, jaki ładny dzień!—ten nie myśli prawie nigdy o tem. Dla niego ziemia jakby stoi nieruchomo, a poruszają się tylko wody, szumi wiatr i pędzą po niebie obłoki, przed siebie,—prosto, tak jakby miały jedną nieskończoną drogę, co nigdy nie zawraca. Człowiek myśli przede wszystkim o dniu dzisiejszym, a jeśli jest on piękny, to powtarza to sobie z radością, z czego zaraz można poznać, że chciałby, aby zawsze były takie.

Ale dnie otaczają wieńcem ziemię, co się obraca dookoła słońca i każdy z nich, przelatując nad tem miejscem, gdzie go dojrzy człowiek, uśmiecha się do niego lub przynosi wieść która trwoży czy smuci.

Więc nawet w piękny dzień przychodzi nakoniec człowiekowi do głowy: co przyniosą dnie następne? Chce on nakoniec o tem się zawczasu dowiedzieć, chce uprzedzić myślą, jeśli jest ciekawy, nadlatujące nieprzerwanym wieńcem nowe dnie, te, których jeszcze nie zna. Nie zawsze się to udaje. Dnie są niespodziane, a gdy już nadejdą, to chociażbyśmy myśleli o nich przedtem nie wiem co, nie dadzą się uprosić i na nic się nie zgodzą.

Człowiek im jest starszy, tem lepiej wie o tem, bo wiele dni przeleciało już nad jego głową. Głowa ta pracuje, aby je uprzedzić nuży się i wytęża. Są tacy ludzie, którzy nigdy

nie przewidzieli ani jednego dnia swego; są też tacy, co nigdy tego nie próbowali, albo tacy, co zawsze trafiając szczęśliwie nie mogą znieść jednego, jedyne go dnia, który ich zawiodł.

Prócz tych dni ludzkich są wielkie dnie, przychodzące już nie dla pojedynczych istot, ale dla całych narodów. Te nazywamy tylko dniami, bo często jeden z nich przerasta całe życie człowieka, ale pozatem podobne są one zupełnie do młodszych swoich braci. Aż wreszcie przychodzimy do tego miejsca w myśleniu, kiedy można sobie wyobrazić z kolei—dnie ziemi. I ona ma swoje ciężkie, poważne, ogromne dnie, które nad nią przechodzą podczas jej obracania się naokoło słońca... Tak oto powróciliśmy do miejsca znanego z każdej geografji.

A teraz powróćmy do białego domu.

Zmieniło się w nim wiele od czasu, kiedyśmy go ostatnio opuścili. W salonie niema już starego zrzędy fortepianu. Zniszczony ostatecznie przez czas i mole, pojechał prostą chłopską furką do miasta, gdzie go oddano do ubogiej ochronki. Tam pewno w szkolne dnie otaczają go wokoło dzieci, śpiewając łatwe piosenki, którym wtóruje na żółtych klawiszach stara ochroniarka. W kącie salonu białego domu lśni teraz nowiutkie pianino, a obok na eleganckiej półeczce leży sporo nut. To są wszystko nuty doradzone dziewczynce przez nauczycielkę z pensji. Bo dziewczynka to już teraz dorosła panna, która umie dobrze grać i zręcznie rozmówić się z gośćmi gdy przyjadą. Ani Burek, ani lalki, ani wróble z podwórza nie są już jej przyjaciółmi. Goście zato przyjeżdżają często. Okna salonu są do późna oświetlone, na rzece pod ogrodem stoi u brzegu pięknie malowana łódka, a klomb pod oknem dziewczynki ozdobiony jest w lecie jej literami, ułożonemi z mdłych, posłusznych roślinek. Odwiedziny gości nie ustają i podczas zimy. Wtedy zdaleka jeszcze słychać, kiedy nadjeżdżają, bo głos dzwonek od sanki rozlega się naokoło.

Sanki zajeżdżają pędem przed dom, konie potrząsają

kitami i brzękadłami na głowach, a jest ich czasem takie mnóstwo, że stary Maciej dobrze się często nakłopotuje, jak to wszystko w stajni pomieścić. Dnie nad białym domem lecą jak rozpędzone sanki to też nic dziwnego, że mieszkańcy nie przeczuli wcale jednego z nich. Przyszedł on zimą, kiedy była jeszcze noc na dworze, zerwał wszystkich na nogi, dziewczynce poraz pierwszy oddawna napełnił oczy łzami, a ojcu jej pochylił jeszcze bardziej zgięte wiekiem ramiona. ...Matka dziewczynki nagle ciężko zachorowała...

Kiedy w domu jest ciężka choroba, zwierzęta domowe wiedzą o tem doskonale. Są wtedy jakieś bardziej smutne, ospałe i włóczą się po kątach, jakby same zdrowie utraciły. Jednak dość podrażnić jedno z ich zwykłych przyzwyczajęń, wtedy—koty szczególnie—stają się na chwilę dawnymi kotami, ale na chwilę i wszystko, co wtedy robią, jest jakieś przesadzone.

W białym domu był od paru lat duży szary kot ulubieniec matki. Gdy ta zachorowała, stało się z nim coś dziwnego. Spochmurniał i ciągle prawie spał w kącie dużego fotelu w stołowym pokoju. Fotel był w ostatnich czasach przed chorobą ulubionym miejscem matki dziewczynki, i teraz kiedy leżała ona w drugim pokoju prawie umierająca, dziewczynka nie mogła bez łez spojrzeć na pocziwego kota. Ale kot nie pozwalał się dotknąć: był jakiś niecierpliwy, zrywał się zaraz z miejsca jakby go coś przestraszyło, uciekał pod stół i tam czekał dopóty, dopóki dziewczynka nie poszła usiąść przy łóżku matki. Wtedy dopiero wracał na swoje miejsce, aby znowu zwinąć się w kółko z dawną senną miną.

Dnie upływały, a matce nie robiło się jakoś lepiej. Doktorzy przyjeżdżali do niej często, aż wreszcie jeden z nich przywiózł ze sobą niemłodą panią, ubraną jak zakonnica do doglądania chorej. Wszyscy w domu upadali już prawie ze zmęczenia, więc czyjaś pomoc w nocy okazała się niezbędną.

Chora budziła się często w głucho godziny nocne, kiedy

wiatr zimowy huczał za oknem i zalepiał je miękkim śniegiem tak, że czarna noc tylko górnymi brzegami szyb zaglądała do pokoju. Wtedy straszło ją wszystko, co było w pokoju. Mała nocna lampka, paląca się ciągle na stoliku między flaszkami pełnymi lekarstw, raziła ją w oczy i bolała w głowie. Wiatr zimowy huczał jak dzwony albo wył jak wilki tuż za oknem. Wtedy zrywała się biedna stara matka na łóżku, zasłaniała oczy rękoma i trzęsła się cała, choć była rozpalona od gorączki. Przy łóżku zjawiali się zaraz ojciec i dziewczynka, aby chora nie czuła się w takiej chwili samą. Pielęgniarka poprawiała tymczasem pościel i przykładła matce zimny okład na głowę i powoli znów się robiło cicho w pokoju, tylko chora długo jeszcze rozmawiała coraz ciszej ze sobą, przypominając często rzeczy które się już bardzo dawno działy. W schorowanej głowie mieszały się one i plątały dziwnie, czasem trudno było zrozumieć, o co chodzi.

Doktorzy przyjeżdżali tak często jak i w pierwszych dniach choroby, ale dotychczas nic pocieszającego powiedzieć nie mogli. Jeden z nich siwy, w złotych okularach, stale wypytywał o różne szczegóły pielęgniarkę, zapisywał to sobie w notesie, potrząsał głową, stawiał godziny, daty, cyfry, a inni otaczali go w chwilach rozmowy, kiedy oddalali się wszyscy do pustego stołowego pokoju i spierali się o coś gorąco. Wreszcie któregoś dnia doktor w okularach powiedział z tajemniczą miną ojcu i dziewczynce:—choroba się przesila, jutro będziemy mogli coś powiedzieć o zdrowiu, a koledzy spojrzeli na niego z podziwem i pochylili zgodnie głowy.

Po odjeździe doktorów dziewczynka uradowana ich słowami, postanowiła tę noc sama czuwać przy matce. Dozorczyni położyła się spać, a ona z książką w ręce usiadła przy lampie i zapatrzyła się w wychudłą twarz matki. A kiedy się już na nią napatrzyła tak, że mogłaby odwrócić głowę i widziałaby ją tak samo wyraźnie, wtedy spojrzała

mimowoli na książkę trzymaną w ręce. Dziwnym trafem była to stara książka z bajkami, jaką czytała kiedyś jeszcze, będąc dzieckiem. Oto z pomiędzy obdartych i wystrzępionych kartek jej wygląda jeszcze parę żółtych, sztywnych liści włożonych zamiast zakładki. Jednocześnie dziewczynka czuje, że na ręce wysypuje się jej trochę piasku... Wtedy zaczyna sobie powoli przypominać...

Mój Boże, jakże to było dawno, kiedy kładła się z tą ulubioną książką na trawie w ogrodzie, a złote pszczoły latały wysoko w słońcu od jabłoni do jabłoni.

Drzewa wtedy kwitły i ktoś przyszedł do domu w odwiedziny, a ją to bardzo ucieszyło. Ale doprawdy, któżby to mógł być! Dziewczynka wie i nie wie. Nie, nie wie kto, ale wie, że był wtedy. Wtem jeden z listków wypada z książki; dziewczynka go podnosi i czyta na nim słowa, napisane jej dziecinną ręką: „chłopiec gra to, co się myśli“. I znowu zaczyna się zastanawiać. Chłopiec,—czy to nie który z królewiczów, o których mówią bajki starej książki?

Nagle chora się poruszyła. Dziewczynka odkłada książkę, nachyla się nad matką, a ta otwiera oczy i pyta kto tu grał przed chwilą na skrzypcach? Nikt, matko,—odpowiada dziewczynka.

Ależ napewno grał,—powtarza jeszcze raz chora, wpuśćcie go, to ten mały chłopiec, co był kiedyś u nas. Tyś była wtedy bardzo mała, może nie pamiętasz, ale ja wiem, to on marznie pod oknem.—I wtedy nagle dziewczynce rozbija się w pamięci; mały chłopiec, grający na skrzypcach, staje jej przed oczami jak żywy.

Jednocześnie w pamięci jej odzywa się cicha melodja skrzypiec, odzywa się powoli, ciągle i teraz już dziewczynce samej zdaje się, że ktoś gra za oknem.

Ale skądżeby się tam wziął o tej porze mały chłopiec? To wiatr tak go doskonale naśladuje, lodowaty wiatr, pędzący od zamrażniętej rzeki. Dziś jest wyjątkowo wietrzna

noc. Drzewa w ogrodzie trzeszczą pod ciężarem śniegu, wiatr okręca się na rogach domu, zatrzymuje się jakby zdziwiony, a potem pędzi wzdłuż ścian, w głąb podwórza i tam w każdej szczelinie, w każdym zakątku jęczy żałośnie. Suchy śnieg rzadka bije w szyby, tumanem zsuwa się z dachu i przepada w ciemności.

W taką noc ludzie, siedzący w ciepłych pokojach, najwięcej myślą. Myśli ich są poważne, często smutne, patrzą nieruchomo na płomień lampy, albo ogień w piecu i to wszystko, co ich kiedy spotkało, jak żywe, staje w pamięci. Zima każe myśleć o tem, co było, opowiada o tej gromadzie dni, jakie przeleciały nad głową i zapytuje człowieka, czy je dobrze przyjął u siebie.

Dziewczynka, choć już dorosła, jest jeszcze za młodą, aby zrozumieć, co zima mówi. Ale matka a potem zima za oknem przypomniły jej chłopca i tego nie może zapomnieć. Zresztą w ręce trzyma starą książkę pełną bajek. Tę książkę pokazywała mu kiedyś, a potem nieraz o nim myślała, trzymając ją w ręce. Ona też przypomina.

Teraz oto matka znów się budzi i prosi, żeby jej zagrano, tak jak gra chłopiec za oknem. Matka prosi tak, jak to się dzieje w gorączce, uporczywie, cicho prosi, a dziewczynka przecie nie potrafi tak zagrać. Nowy fortepian stoi w sąsiednim pokoju, ona się tyle lat uczyła, a tak zagrać nie potrafi. I pierwszy raz od wielu lat, dziewczynka uspakajając chorą i czując swoją bezsilność—płacze. Płacze, że zapomniiała o muzyce chłopca, że nie była dość wytrwałą, aby ją zrozumieć. Dziewczynko, dziewczynko—mówi książka—przeczytaj stare bajki, one cię uspokoją. Ale z książki sypie się ziarno po ziarnku ziemia ogrodu; wkładała ją kiedyś sama między karty, gdy przestawała czytać, myśląc o chłopcu. Ziemia ta patrzy na nią jakby jego oczami i mówi: „nie pamiętałaś o mnie, nie uwierzyłaś mi, a ja zostałem taki sam, jakim byłem wtedy“.

Matka wreszcie zasypia. Dziewczynka siada wygodnie

w fotelu, przymyka oczy, choć na rzęsach błyszczą jeszcze łzy. Powoli zasypia i ona. A wiatr za oknem też się gdzieś oddala, ginie w głębi ogrodu, ucicha i tylko daleko na odsłoniętej zamarzłej rzece podnoszą się jeszcze tumany śniegu i rozsypują po gładkim lodzie.

— — — — —

Dziewczynka dużo przemyślała, kiedy ukochana jej matka przechodziła ciężką chorobę. Z początku szło jej to nadzwyczajnie trudno. Myślenie nie jest łatwą rzeczą; kto się raz od tego odzwyczai, temu wrócić do niego jest już bardzo trudno. Na pensji nauczono dziewczynkę prawie na pamięć wszystkiego, co czynić należy, aby to ludziom wystarczało. Nosiło to ogólna nazwę zachowania się, i było jako nauka pilnie przestrzegane. Co zaś dziewczynka później zapomniała, z tem potrafiła zręcznie poczekać, aż póki ktoś inny da jej przykład, na którym możnaby się było wzorować. Powiedzenie starej nauczycielki muzyki, że trzeba nade wszystko nie mylić się w takcie, weszło mimowoli w całe jej postępowanie, nadając mu tę miłą łatwość, wobec której człowiek mądry uśmiecha się pobłażliwie. Nic więc dziwnego, że ciężka choroba matki, zastała ją zupełnie nieprzygotowaną. W sercu jej miłym dotąd jak gościnny pokój powstało zamięszanie i smutek, z którym nie umiała sobie poradzić. Smutek bowiem nie był takim jak każdy z tych młodych, ugrzeczniionych panów, potakujących zawsze wszystkiemu, co tylko jej przyszło do głowy. Smutek miał rozszerzone ogromne oczy chorej matki, to znów oczy chłopca, które sobie po swojemu przypominała. Znał się dobrze z zimą i syjącym śniegiem i często, kiedy krótki dzień się kończył, przychodził z samego końca długiej ogrodowej alei pod jedno okno domu.

Było to właśnie okno, przez które kiedyś dziewczynka dostrzegła pierwszy raz chłopca. Teraz jakby dostrzegała go nanowo jak prowadzi ze sobą małego kudłatego pieska; był

to smutek który przybierał jego postać. „Zagraj mi co na powitanie“ — mówił wtedy wchodząc niepostrzeżenie i łatwiej od mrozu do pokoju wszystkimi szczelinami drzwi i okien. A dziewczynka wiedziała, czego chciał, ale nie mogła sobie z jego prośbą poradzić.

Kiedys zaczęła przeglądać swoje stare zabawki, odłożone przez matkę do szafy. Nagle pomiędzy nimi znalazła skrzypce wystrugane kiedyś przez Macieja. W tej chwili smutek stanął za nią, oparł się jej na ramieniu i zanucił kawałek nieznanej melodji. Ach matko! — zawołała dziewczynka, bo przez drzwi widać było łóżko chorej, która się trochę już lepiej czuła, — „znalazłam skrzypce!“ I pobiegła je pokazać, a matka uśmiechnęła się blademi ustami tak, jakby coś lepiej od córki rozumiała.

Zima już przechodziła. Wokoło białego domu zaczęła się znów wiosna. Świeże trawki zjawiły się na łąkach, blade dzwoneczki zwisły nad szumiącymi rowami. Ale dziewczynka, pomimo że dużo myślała i czasem rozmawiała z rodzicami o chłopcu, nie przypominała sobie wyraźnie jego muzyki. Nie grała tylko na swoim nowym pianinie. Gdyby chłopiec teraz się zjawił, gdyby ten sławny człowiek, o którym nieraz donosiły gazety, był tu w białym domu, wszystko przyjęłoby może inny obrót. Ale był on tymczasem tak daleko, że nawet blaszany kogucik na dachu nie mógł dojrzeć tych stron, chociaż często jakby starając się o to, obracał się wkoło od wiosennego wiatru.

Lekarze zalecili matce wyjazd w ciepłe strony. Tak być musiało, aby uratować jej osłabione zdrowie i wszyscy zaczęli się powoli szykować do drogi. A smutek opuszczał powoli dziewczynkę. Miał on teraz za dużo roboty, aby się nią tylko zajmować. Musiał walczyć ze słońcem, co zasypywało go swoim iskrzącym uśmiechem, z błękitnem niebem, które zmieniało jego bladą, poważną twarz. Opuścił biały dom i najchętniej przesiadywał na małym cmentarzu niedaleko wsi, z kąd pochodził chłopiec. Tam czepiał się starych schy-

lonych krzyży o których już wszyscy zapomnieli, chwiał ordzewiałą blachą, wiszącą na jednym gwoździu przy ogrodzeniu albo zatrzymywał się obok wyschłego zeszłorocznego chrabąszcza, leżącego z boku cmentarnej ścieżki. Ale smutek był już wtedy tak mało widzialny dla oczu, młode szumiące liście wierzb tak zagłuszały słaby jego głos, że stary stróż, nawet nie dowiedział się o nim, gdy zamiatał uliczki przed Wielką nocą. Wtedy to smutek miał jeszcze tylko dwa dni, kiedy wszyscy ludzie go słuchali. Nastąpiły one przed samymi świętami. Podczas nich wiedział, że może wejść pierwszy bez przeszkody do starego kościołka, gdzie na środku czyściutko wymytej podłogi leżał kawałek czarnego sukna, a na nim krzyż, obok zaś stała pusta miedziana misa. I kiedy otworzono potem drzwi bez śpiewów i grania na organach, smutek siedział przy misie, patrząc nieruchomo na wchodzących. Ludzie nie mogli znieść takiego widoku: klękali albo padali na podłogę z ciężkiem westchnieniem, a potem podnosząc się powoli, ciskali z brzękiem miedziaki do misy... Aaach—mówił wtedy smutek i pochylał głowę.

Aż drugiego dnia kiedy się tak zasiedział do późnej nocy, przeraziły go nad ranem dzwony.

Pan wstał, pan wstał, — wołały coraz głośniejsze. Drzwi otworzyły się na oścież, ołtarz był pełen światła, a weseli ludzie napełnili kościół po brzegi. Wtedy smutek wymknął się chyłkiem i przepadł gdzieś w świecie. Poszedł szukać pewnie serca, w którymby mógł zamieszkać nawet w tę wiosenną porę roku.

Zaraz po świętach dziewczynka z rodzicami wyjechała. Dnie wtedy były pogodne, chora zdrowsza i można już było wybrać się z nią w daleką podróż. Wszyscy wyjeżdżali na długo, więc szykowano się do tego odpowiednio. Zapakowane meble wysłano do miasta. Służba pożegnała się z państwem i odeszła, a po wyjeździe chorej, która zatrzymała się z córką parę dni w mieście, ojciec wrócił sam i zamknął biały dom na długo.

Potem i on odjechał, a zdziwione wróble nie słyszały już odtąd wewnątrz nikogo

Znacznie później przejeżdżali tędy kiedyś rozbawieni ludzie. Biały dom był już wtedy podobny zzewnątrz do opuszczonej budowli. Zamknięte okiennice podparte dragami świadczyły zdaleka o pustce wewnątrz, to też widocznie ktoś chciał się dostać do środka, bo drzwi były otwarte z zamka, dość już było tylko pocisnąć klamkę, aby wejść do środka. Rozbawieni ludzie ubrali je gałęzmi i odjechali, śpiewając chórem, po małym popasie w ogrodzie. Odtąd dom został sam i nie miał już wcale mieszkańców.

I takim zastałem go kiedyś ja, gdym wysłuchał na jego progu tego opowiadania. Ale teraz chodźmy za ludźmi, którzy go opuścili. Chłopiec i dziewczynka dorośli już, a my dowiedzmy się, co się dalej z nimi stało.

VIII.

Nad brzegiem południowego morza leży wielki, bardzo stary kamień. Pochodzi on z głębi lądu, ale ta historia nie jest już nawet jemu samemu wiadomą. Było to tak dawno, że opowiadanie o sobie mógłby on zacząć tylko od tej chwili, kiedy postawił na nim nogę pierwszy człowiek, już jako na nadmorskim głazie. Kamień, kiedy go woda łagodnie trąca, jest prawie taki gadatliwy jak ona. Wydrążony i podkopany przez fale, huczy wtedy jak wielka muszla, a zawsze jest w tem huczeniu mowa o przychodzących w te strony ludziach. Więc gdybyśmy go posłuchali, dowiedzielibyśmy się, że widział kiedyś fenickie barki pełne brodatych marynarzy, gdy mijały go wolno, płynąc wzdłuż brzegu. Na tyle pierwszego okrętu rozbity był namiot kupca, wiosłarze poruszali się u wiosła jak mrówki, a słońce iskrzyło się na włócznie niewolnika, stojącego pod namiotem i paliło twarze ruchliwych dozorców wiosłarzy.

Potem widział kamień galery wojowniczych rzymian, pełne żołnierzy świecących zbrojami; na przodzie jednego okrętu stał dowódzca, skrzyżowawszy ręce na piersiach; płynął na wojnę w dalekie kraje i patrzył może po raz ostatni na swoją ojczyznę. Na niektórych statkach sterczały w górę dziwaczne pomosty, wiosła poruszały się szybko jak nogi ogromnych owadów, a twarze bożków, którymi poozdabiane były

przody statków, posuwały się milcząco nad błękitną wodą. Później od strony lądu omijały kamień wyjące hordy barbarzyńców; ubrani w skóry zwierzęce prowadzili oni za sobą całe gromady jeńców, idąc wzdłuż brzegu, jak nieznana fala. Z głębi lądu ciągnęły wtedy nad wodę dymy spalonych miast, a nocami piana na piaskach czerwona była od łuny jak pączek kwitnącej róży. To znowu przescigały się wodą wązkie łodzie normanów obwieszane tarczami i nałożone dzidami wojowników. A potem okręty pierwszych zdobywców nowego świata chwiały się na falach jak niezgrabne ptaki. Huk armatni rozlegał się już wtedy w powietrzu a kamień odpowiadał mu słabem echem. Przez cały ten czas wielu ludzi stawiało na nim stopy. Nie zliczyłby teraz traw i mchów, jakie porosły go i zwiędły z kolei.

Ale zawsze jednak zazdrościł morzu, że zna ono starsze od jego pamięci rzeczy i czasem, kiedy jest poważnie usposobione, podszeptuje mu je niewyraźnie. Aż oto kiedy przepłynęła znów nad światem cała fala czasu i dodała kamieniowi wiele nowych wrażeń, choć sam się nigdy z miejsca nie ruszał, przyszedł tutaj i usiadł na nim jeden człowiek.

Był wtedy piękny wieczór księżycowy. Zielona latarnia parowca migiała gdzieś daleko nad wodami, a słup srebrnego światła podchodził aż do samego kamienia, wyrzucając na brzeg srebrne rybki odbłyśków.

Człowiekiem siedzącym był chłopiec. Zapatrzył się stąd na morze, a że miał skrzypce ze sobą — zagrał, nie wiedząc co. Zdawało mu się w tej chwili, że wszystko to, co ludzie nazywają miłością, chce użyć mu jakiejś nieznanej nikomu mowy i że mowa ta chce wejść w jego serce. Ale na progu jego, co rade by było takiemu gościowi, ktoś oczekuje. To tęsknota za tem, co chłopiec zostawił za sobą. I przychodzi chwila, że spotykają się dwie potęgi, a dom serca drży cały od tego, choć cisza jest na wodach i ziemi. Wtedy właśnie chłopiec usiłuje grać walkę tęsknoty z miłością, która wszystko rozumie, to wieczne zagadnienie człowieka, potężniejsze nad

czas, zapamiętany przez głaz nadmorski. Aż morze—się zdumiało. Oto ktoś wie to samo, co i ono. Oparło się morze wygodnie o brzeg, aby lepiej słuchać, a najdrobniejsze fale powyskakiwały na piasek i uciekły w dołkach i zagłębieniach, tak że tylko leciutkie drżenie ich powierzchni świadczyło, jak słuchają.

Chłopiec nawet nie wiedział, jak wdzięcznym był mu kamień za jego granie. Nie mówił on tego głosem ludzkim, ale huczał cicho tonem swoich zagłębień, przypominając sobie powoli wszystko. Wiedział już teraz, że pochodził z wielkich ośnieżonych gór, których wierzchołki majaczyły w pogodne dni nad widnokregiem, w głębi lądu. Muzyka obudziła w nim najdawniejszą pamięć której zazdrościł morzu.

Zapytacie pewno teraz ciekawie o chłopca?

Tu nad brzegiem morza mieszkał on już od dość dawna w dużym gwarnym białym domu gdzie zawsze pełno było przejezdnych gości, i choćby dlatego, niebył to dawny biały dom. To był tylko hotel, zmieniający ciągle ludzi, z których prawie żaden nie zostawił w nim ani cząstki swej prawdziwej historii. Obrzydł on wreszcie chłopcu, tak jak się prędzej czy później znudzi każdemu próżny nieustanny gaduła. I chłopiec właśnie po owym wieczorze księżycowym wyjechał, zabierając swoje skrzypce, odjechał żalowany przez gości, spodziewających się, że kiedy rozproszy swoją grą ich nudę.—Jadąc dalej, zatrzymał się dopiero po dłuższym czasie. W podróży minął odwieczne ruiny, co jak szeregi słoni ciągnęły się przez równinę, minął miasta pełne pięknych budowli, gwaru i światła. Góry o śnieżnych głowach coraz wyrastały przed nim na horyzoncie, zawiewał od nich świeży chłodny wiatr, a wieczorem szczyty ich płonęły jak purpurowe kwiaty. Wreszcie chłopiec zatrzymał się nad pięknym wielkim jeziorem. Cicho tu było. Drobne domy nad brze-

giem odbijały się w spokojnej wodzie, otoczonej górami, powtarzając całe ich piękno i wyniosłość.

Tutaj zamieszkał chłopiec w małym domku, nad samą wodą. Kiedy słońce wschodziło rano z za gór, przychodziło tu do niego po wodzie aż pod same okno obwieszone kwiatami i rozsiadało się potem na cały dzień pod ścianą jak odpoczywający gospodarz. Oko jego doglądało wszystkiego, a ono samo jakby drzemało wśród pachnących traw i drzew, aż do wieczora.

Tutaj postanowił sobie chłopiec opracować to, co mu wtenczas przyszło do głowy nad morzem. Zaczął pracować nad swoimi myślami, badać każdą z nich jak kamień, zanim je się ujmie w jedną oprawę. Tworzył pieśń tęsknoty ludzkiej, którą powtórzyć miała ludziom muzyka.

Dziwnym trafem, wkrótce potem przyjechała tu dziewczynka z ojcem i chorą matką, sławny doktor, który tak zadziwił wtenczas kolegów swoją trafną przepowiednią, wskazał im to miejsce, jako najlepsze do kuracji. Odtąd chłopiec nawet nie wiedział, z kim sąsiaduje, chociaż przecie jego żywe wspomnienia były teraz tak niedaleko. W małym ogrodzie na wysokim brzegu jeziora siadywała dziewczynka z matką w każdy słoneczny dzień. Chłopiec widział ze swego okna jasne ich suknie, ale właścicielek nie poznał zdaleka. Był zresztą zapracowany i nie wiedział prawie, co się około działo. Wyśpiewać pieśń tęsknoty—czyż to tak łatwo?

Wieczorami siadał znużony i grał. Pomysły, nuty opuszczały wtedy jego głowę. Wracał do swoich lat dziecińczych, przypominał sobie przeszłe swoje pieśni, które doprowadziły go do dnia dzisiejszego. Cisza nad jeziorem jakby mu była wdzięczna zato. Powtarzała daleko aż do samych gór, to, co jej opowiadano, prowadziła nad kwiatami i wodą głos strun, tak że nawet samotna barka rybacka, stojąca daleko od brzegu z opuszczonym żaglem, wydawała się zasłuchaną.

U sąsiadów okna ze względu na chorą, były wieczorem zamknięte, ale dziewczynka wychodziła wtedy do ogrodu. Głos skrzypiec wkrótce stał się jej nieobcym. Coś w nim nawet było takiego, co zdawało się, że zna oddawna. Nie było to to samo, co piękny śpiew z niedalekiej opuszczonej willi. Kiedy tu przyjechała, usłyszała go i była zachwycona. Ktoś widać zwiedzając pusty dom, zaśpiewał wtedy pięknym głosem. Łabędzie pływały po zarośniętej sadzawce, proste, wysokie drzewa stały nieruchomo, a głos jakby tłumaczył to, co się gdzieś tymczasem niewidzialnie działo. Teraz skrzypce zaćmiewały go powoli. Dziewczynka myślała nad tem i nie była jednocześnie pewną, czy to dobrze, gdy się dorosłej osobie przypominają coraz wyraźniej dziecinne lata. Bo skrzypce przypominały je. Nie mogła się oprzeć ich urokowi i słuchała, jak tych swoich myśli co już niby dawno przepadły, a teraz ktoś je za nią głośno przypomina. Ale przytem nie są one jak stare dziecinne zabawki, które zwracają tylko oczy ku dawnym czasom. Pielęgnowane w czyjejs głowie tak, że wyrosły jak wyrastają ludzie, wracają teraz do niej melodją i całują niby dobre duchy.

Kto przysyłał jej te myśli? Kto je dotąd piastował? Dziewczynka nie zadawała sobie tego pytania, bo nie poznawała je tak dobrze, pragnęła tylko coraz bardziej poznać samego muzyka.

— — — — —

Kiedy ktoś chce kogo poznać, staje się to jakimś trafem, prędzej czy później. I dziewczynka poznała chłopca, poznała go zupełnie nanowo, a potem powoli dowiedziała się wszystkiego. Ojca i matkę bardzo to cieszyło. Nigdyśmy nie myśleli, że w panu spotkamy nanowo małego chłopca,—mówili,—a muzyk uśmiechał się i pochylał głowę.

Odtąd nad jeziorem odbywały się koncerty. Wielu ludzi drogo by zapłaciło, aby je usłyszeć. Chłopiec grał wtedy swoje młode lata, których dziewczynka wcale nie знаła, grał

wszystkie po kolei, tak, jakby skrzypce w pamięć się zamieniły.

W dzień, oboje młodzi chodzili na długie spacery. Dziewczynka poznawała coraz lepiej swego towarzysza, chociaż rozmowy ich nie zawierały jeszcze w sobie tego, co nazywamy zupełnem przypomnieniem sobie ubiegłych lat. Ulu-bionem miejscem ich spacerów była opuszczona willa. Kamien-na ławka nad sadzawką z łabędziami dziwnie przypominała dziewczynce pensję.—Czy pan wie, że to miejsce jakby żywcem przeniesiono tutaj z naszego kraju? Drzewa tylko są inne, ale gdy tu siedzimy, zdaje mi się, że poza nami zamiast tego pustego domu stoi budynek szkolny. I dziewczynka zaczęła opowiadać o szkole to, co pamiętała, ale w pewnej chwili zarumieniała się i umilkła. Chciałam kiedyś grać tak, jak pan, ale właśnie od czasów tej próby wszystko poszło inaczej,—zakończyła opowiadanie.

Była to jej pierwsza próba skrytykowania samej siebie, uczyniła to wobec chłopca, człowieka, który zjawił się teraz w jej pamięci niby osoba zdawna znana, tylko jakoś skromnie pozostała na boku przez cały czas jej młodziń-czego życia. Ta skromność, którą nie wiedziała, czy sobie, czy jemu przypisać, gniewała ją teraz i dziwiła. Skądże teraz znowu takie szybkie zbliżenie? I dziewczynka myślała nad tem nieraz długo nim usnęła. Jezioro pluskało pod ogrodem o kamienny brzeg, kwiaty pachniały bardzo silnie, a jakiś daleki śpiew jakby jej podpowiadał wyraźnie to, czego się sama domyślić nie mogła.

Bo to, co miała zrozumieć, nie mogło być powiedziane ani jednym słowem, ani temi wszystkimi głosami, jakie napełniały wspaniałą noc południową. To musiało w niej dojrzeć, a wtedy dopiero jej oko dostrzeże w całym świecie to samo, bo nic innego nie istniałoby już gdziekolwiek. I gdyby kto, co wiele już zrozumiał chciał pomódz jej myśleniu, wytłumaczyłby napewno, że ma ona w sercu ma-łeńkie, ledwo co posiane ziarno, pochodzące z tej samej sło-

necznej krainy, co i ziarna skrzydlatych siewców. Samo ziarno było coprawda inne. Jako pierwszy owoc nieświadomych często wyobrażeń, było ono tak słabe, że nie mogło mieć jeszcze wielkiej wartości nawet dla niej samej. Później zaś, gdyby się rozwinęło, byłoby jej szczęściem i w ziemię by go posiać dla wszystkich nie było można. Bo było to jedno małe ziarno dziewczynki, która teraz dopiero zaczęła łamać się z myślami. Niestety jednak, nikt o tem z nią nie rozmawiał. Ona sama niewiele o sobie wiedziała, a chłopiec, jej mądry nanowo znaleziony towarzysz, nie umiał jeszcze tego jej powiedzieć.

Chłopiec, pracując nad tem, aby pojąć cały świat jako jedną ogromną muzyczną harmonję, spotykał się już nieraz z miłością, drogi jej zdumiewały go nieraz, przejmując otuchą, to znowu troską i ciężką żalością. Powoli zadaniem jego jako artysty stało się—zrozumieć ją. Wszystko, co dotąd uczynił, stawało się jednym tego pragnieniem. A to była jakby coraz pełniejsza pieśń tęsknoty ludzkiej. Poznanie nanowo dziewczynki zmieniło mu pracę. Długie spacerów odbywane razem, rozmowy, w których od czasu do czasu jakby coś zaczynało niewyraźnie mówić poza niemi i naokoło nich, pozwalały odpoczywać, ale nie zasypiać jego myśli. Niewyraźne odpowiedzi, błakające się w powietrzu południowych dni, jakby zapowiadały, że mu dopomogą.

Ulubionem miejscem spacerów dziewczynki i chłopca, była, jak już wiadomo, stara willa. Wielki zdziczały ogród ciągnął się za nią daleko wzdłuż jeziora. Znaleźli w nim długie kręte aleje, gdzie na zakrętach spotykali często kamienne omszone posągi, zrujnowane ławki, łączki pełne kwiatów i dzikich pszczoł. Wtedy przypominali sobie zawsze dawne czasy. Byłem małej i taki zmarznięty wtenczas, powtarzał chłopiec i oczy mu się smuciły. Napewno widział on wtenczas zamiast błękitnego nieba, ośnieżoną aleję, którą zbliżał się ku białemu domowi.

A potem oboje przypomnieli sobie wiosnę. Usiądźmy

tu na ławce, powiedziała kiedyś dziewczynka, gdy o wiosnie była mowa. A gdy usiedli, mówili akurat o dniach, kiedy ogród naokoło białego domu pełen był jakby białego pachnącego śniegu. Ogród kwitł, jak bukiet—powiedział chłopiec i spojrzał dziewczynce w oczy. Tak się to jakoś zdarzyło, że musiał akurat spojrzeć; chciał zobaczyć ten ogród, który wtedy wygrał na swoich skrzypcach. Ależ on jest teraz tutaj, pomyślało coś w nim z radością, gdy patrzył. W tej chwili ogród znikł, a dziewczynka zarumieniła się i wstała. Oboje doszli do domu w milczeniu.

Nie milkły tylko głosy wkoło nich mówiące teraz coś, co już niedługo będzie przez nich zupełnie zrozumiane.

IX.

Doskonałą przewodniczką młodych serc jest — cisza nocna. Kiedy się wieczór skończy, i noc nastaje gdy już wszystkie gwiazdy płoną najsilniej, tak że nad drzewami i nad wszystkim, co wtedy ciemne wznosi się nad ziemią, rozściela się jakby jedno drgające świetliste morze, wtedy, zamieniona w nieuchwytny oddech nocy, rozściela się między niebem a ziemią cisza. Od gór, których prawie nie widać w mroku, aż do niskiej szepczącej leciuchno wody, faluje ona wtedy i łączy wszystko w jedno wielkie odpocznienie. Cisza nocna jest bezgłówna, ale nie jest głucha. Wszystko co za dnia było, albo choć chciało być sobą, oddaje teraz swoją całą wartość w jej niewidzialne ręce. Ona przyjmuje jednakowo i to co największe i to co najmniejsze, aż powoli ze wspaniałego skarbca, jaki się tworzy, pojawia się i rośnie to, co jest najlepszego — myśl ziemi. Myśl ta idzie na drogi, unosi się pod gwiazdzistym niebem, baczy, czy wszystkie wielkie postanowienia, co dojrzały do czynu, będą spełnione i czy kolebkom tylko co zrodzonych, nic nie zagraża. Myśl ziemi czuwa wtedy również nad wszelką ojczyzną ludzką i wiarę w nią przenosi jako czysty strumień w serca kochających ją nadewszystko ludzi. Wszystko to dzieje się w ciszy, bo te sprawy chociaż są też wielkimi troskami, mogą być już przez ludzi rozumiane tylko jako największy spokój życia, gdyż powaga tych spraw przechodzi pojęcie ludzkie.

Cisza nocna kocha młode serca. Wie, że wobec niej otwierają się one najlepiej. Doprowadza je więc najbliżej do myśli ziemi, aż tam, gdzie mogą już one pojąć tylko melodię, brzmiającą choć ucho nic nie słyszy.

Tak myślał teraz chłopiec, kiedy piękne noce zaglądały mu przez okno do pokoju. Czasami myśli jego zamieniały się jakby w gwiazdziste powietrze i szły daleko ponad wody jeziora bez trwogi i ciężaru. Siedział wtedy cicho całymi godzinami wpatrzony w niebo i wodę. Aż wreszcie szczyty dalekich gór zaczynały się zlekka rumienić. Woda, oddychając głęboko, osłaniała je lekkim welonem aby temu rumieńcowi dodać więcej tajemnicy... Gwiazdy zaczynały się słaniać i mdleć jedna po drugiej... A myśl ziemi powierzała wtedy chłopcu jedną tajemnicę, zdjętą z czoła niby wszechwładną koronę, tajemnicę, którą wiedział, że sam za chwilę będzie musiał od siebie świata ogłosić. Wszystko jakby już teraz tylko na to czekało. Coraz silniejsze wzruszenie ogarniało chłopca. Zdawało mu się, że teraz zamiast oczu ma słodkie płomienie, dla których nie istnieją oddale.

A tymczasem góry płonęły coraz silniej... Nagle na ich czoło zlatywał iskrzący promień, niby miecz, zesłany przez niebo, i przybliżał się szybko, jakby on był właśnie owym głoszącym słowem. I oto wszystko stawało się jasnym:

— Ależ tak — mówiła sobie zdumiona myśl chłopca, i głos jego czuł się już niepotrzebnym. Światło mówiło za niego, mgły opadały jak zasłony z posągów; coraz wyżej wschodziło słońce, a pośród tego wszystkiego, co zjawiało się coraz wyraźniej w kłębiącym powietrzu, chłopiec widział wszędzie jedno i to samo... Jego młode serce kochało i to była tajemnica, powierzona mu przez myśl ziemi.

Od kiedy chłopcu stało się to wszystko wiadomem, myśli jego podjęły jeszcze większą pracę. Bo do zagadnień, do jakich poczuł się stworzonym, aby je w melodię przeklinać, dołączyło się jeszcze szczęście, jego ludzkie szczęście. Nie mógł mu bronić miejsca w swym sercu, gdyż tam się

poczęło za sprawą słonecznego promienia, przeciwnie, przez nie z większą niż przedtem łatwością zbliżał się do rzeczy najbardziej tajemnych i poznawał skarby ich harmonji. Cały świat, jako piękny żywy obraz, nigdy wyraźniej nie stawał mu jeszcze przed oczami. Ale zato często, wtedy właśnie, kiedy żądał od serca wielkiej radosnej powagi, nie chciał ono wiedzieć o tem. Obraz dziewczynki zajmował mu wtedy całą serdeczną pamięć i uśmiechał się oczami, po za któremi wszystko zdawało się niepotrzebne.

A przytem chłopiec musiał coś dziewczynce powiedzieć, musiał jej to wyrazić słowami, które, pomimo że znaczyły zupełnie co innego, miały być jednak zrozumiane...

Spacery ich stały się teraz jeszcze dłuższe i każda najdrobniejsza spostrzeżona rzecz, obłok, sunący po niebie, motyl rozkołysany na tle ciemnych prostych drzew, mała chata przy ścieżce, wszystko miało dla nich dziwne znaczenie i potwierdzało to, czego dopowiedzieć nie było można. Nie patrząc na siebie, uśmiechali się wtedy. Dzieci spotykane po drodze, często sprzedawały im zebrane kwiaty i owoce, a potem nazywały ich w swoim języku zakochanemi, i biegły za niemi, długo zaglądając w oczy. Nie sprawiało im to wcale przykrości: zatopieni w rozmowie mało zwracali uwagi na ich słowa i na upływający czas. I w taki sposób opowiedzieli sobie wszystko, co przeżyli.

A potem musieli się dowiedzieć, dla czego byli tacy przez cały przeszły czas. Niepewności różnych chwil, które były dla każdego z nich inne, musiały się teraz zacząć zgadzać ze sobą...

— — — — —

Tego, kto może być tylko rzeczywistym artystą, cierpienie nigdy nie ominie. Jest ono inne, niż to, jakie pospolicie cierpieniem nazywamy, bo człowiek, którego sobie wybrało, też jest inny. Cierpienie sprawia zwykle człowiekowi odczucie jego własnej krzywdy, cierpienie artysty, to zmaganie się

z krzywdą całych mas ludzkich, którą jego bystre oczy i czujne serce dostrzegły nawet tam, gdzie prawie nikt się jej jeszcze nie spodziewa...

Ludzie, którzy przetrwali swoje wielkie cierpienia, mogliby o ich początku opowiedzieć, jak o zjawieniu się jakiegoś szarego ptaka. Już przed jego przybyciem coś w nich oglądało się na wszystkie strony, pełne niepokoju. Ale to coś, nie było wtedy jeszcze całą ich istotą; tłum pogodnych postaci zasłaniał je, chór pogodnych głosów mówił jeszcze w człowieku co innego, nie dając dojść do słowa czemuś, co było już trwożne. Aż pewnego dnia i godziny, oczy człowieka dostrzegły nagle szarego ptaka cierpienia, jak chwiał się tuż nad jego głową na suchej gałązce. Ale oczy widziały dopiero ptaka, tylko dziwnie smutnego ptaka i litowały się nad nim, jak nad jakimś niepodobnem do innych stworzeniem. — Biedny ptaku, — myśli człowiek — gdybym ci mógł pomóc; i zbliża się sam do swego cierpienia, nie myśląc, że to, co ptak śpiewa, jest jego własną niedolą. A wtedy myśl człowieka przestępuje właśnie próg współczucia i wchodzi na drogę własnej niepewności. Jak tylko myśl to uczyni, staje się jej straszno, ptak zlatuje na pierś człowieka i śpiewa już na jego sercu, a głos przenika do środka i płoszy wszystkie pogodne uczucia. Serce się zasępia, głos rozlega się w niem, jak w pustym domu. Aż gdy rozebrzmi od niego całe serce, człowiek zagląda w nie z boleścią i nie może się nadziwić, co się tam bez jego wiedzy stało. Cały świat widzi tam odbity jak w czarnej szybie: i drzewa proste, wysokie, zielone i błękitne niebo i głosy obojętne naokoło rozmawiających ludzi. Wtedy dopiero z wielkim gniewem, przypomina sobie człowiek szarego ptaka: zacina usta, brwi mu się zbiegają, żałuje swego współczucia; wszystko zdaje się być przeciw niemu, więc gotuje się do jakiejś walki, aby wyczerpać gniew. Ale z nikim walczyć nie potrafi, wszyscy i wszystko umyka mu z drogi, nim się podźwignie naprzeciw. Wtedy człowiek zamyśla

się wreszcie w sobie i nieruchomieje. Dziwny człowiek, cóż on sobie myśli, mówią wtedy o nim z niechęcią. A on zatopiony w sobie goni za własnem nieszczęściem, tak jakby zbiegał światy całe, goni zaciekle i długo, aż wreszcie kiedyś znajduje swego krzywdziciela i rozprawia się z nim jak rycerz. I wreszcie staje się, że człowiek odzyskuje nanowó pogodę w sercu, jednak zachowuje sobie wiele skrytych wiadomości z tamtych czasów. Trzyma je jak dziwak, często między największymi swojemi skarbami, aby kiedyś za ich pomocą leczyć innych niby znachor, cierpkimi, zba wiennemi ziołami.

— — — — —

Gdy chłopiec z dziewczynką zaczęli sobie przypominać swoje niepewności, rozkochane ich serca oświadczyły, że nie chcą słyszeć o tem. I miały słuszość, bo czyliż w dzień słoneczny można sobie wyobrazić niepogodę? Wtedy czułyby się one jak dwa ptaki trzymane w ręce, kiedy świat piękny i jasne słońce wołają je ze wszystkich stron, jako najmilszych towarzyszy. Ale chłopiec był dziwnie uparty. Może przeczuwał, że i on kiedyś będzie znachorem ludzi, a melodie jego zrodzone w sercu, które przecierpi niepewność i gniew staną się cudownemi ziołami dla innych, dość, że teraz, wspominając prosto i wyraźnie to, co dotąd przeszedł, nie myślał o tem, że to samo może stać się zaciężkiem dla ukochanej dziewczynki. A dziewczynka myślała jednocześnie, że chłopiec wie o jej zupełnie innej istocie. Mądrzy ludzie myślą dużo, ale serce ich łatwo prowadzi, szeptało w niej coś, jakby radząc i przypominając, aby nie opowiadać chłopcu o tem, czego się kiedykolwiek wstydziła.

A wstydziła się nieraz i ze słów chłopca domyślała się, że on to niekiedy przypuszcza... Niema po co przypominać tak szczegółowo dziecinne sprawy, uspakajała się wtedy. Teraz jestem szczęśliwa i jeżeli wiem, że mogłabym się za tamto wstydzić, to samo to już znaczy, że zacznę być zu-

pełnie inną. Niema już tamtej dziewczynki, która nie potrafiła tak się nauczyć grać, jak mój kochany chłopiec.

Kiedys dziewczynka, myśląc tak już nie po raz pierwszy, szykowała się do snu w swoim pokoju. Przez otwarte okno zdaleka z nad brzegu słyhać było jeszcze muzykę chłopca. Po całodziennym upale noc była jakaś niespokojna: bardzo daleko za jeziorem i jak gdyby pomiędzy górami, pojawiały się od czasu do czasu blade odległe błyskawice, tak jak gdyby kto kręcił w ręce olbrzymią ślepą latarnię. Czarna woda błyskała od tego lekko, ale naokoło było zupełnie nieruchomo i ani jeden liść nie zadrżał jeszcze na drzewach przed domem. Tylko muzyka unosiła się w ciężkiem powietrzu, jakby rozmawiając z ostatnią niezastłoniętą jeszcze chmurami gwiazdą.

Jakiż on dobry,—myślała o chłopcu dziewczynka i rozplatała powoli włosy. Nie mogę mu stanowczo nic powiedzieć o sobie, tak jak to nieraz czuję. Nie myślałam o tem nigdy słowami i nie mogłabym mu tego dobrze powiedzieć tak, żeby być z siebie zadowolona. I kiedy to myślała, wzrok jej upadł na stare stojące przed nią lustro, staroświecki sprzęt, który niewiadomo skąd znalazł się w tym wynajętym pokoju. Pierwszy raz zobaczyła teraz, że ma bardzo bladą twarz. Stare szkło pełne plam odbijało ją tak, że dostrzegła w sobie jakby lekkie pomieszanie.

Czegoż mogę być niepewną?—zapytała siebie dziewczynka i pochyliła się nad lustrem, aby zaprzeczyć chwilowemu wrażeniu. I kiedy tak była pochylona, dostrzegła w rogu tuż przy ramce wydrapane drobnutki litery...

Jednej ciebie nie przestałem nigdy kochać — sztuko,— odczytywała powoli dziewczynka cudzoziemskie słowa i jednocześnie myślała nad niemi.

Więc są tacy ludzie? Więc to, co chłopiec często przy niej nazywa sztuką, jest tak potężne. Wieleż śmierci przeżył ten nieznany człowiek, po których ona jedna pozostała mu żywa w sercu... Powoli zaczynała rozumieć to, co jej się

wydało własnem zmieszaniem. Między sobą a chłopcem dostrzegła coś, jakoby leciutką przeszkodę. On bezwątpienia kocha sztukę, myślała dalej i zamyśliła się ciężko. A tymczasem pierwszy powiew wstrząsał już liśćmi za oknem i woda w jeziorze zaczynała słabo szumieć przy coraz szerszych błyskawicach. Jednocześnie dziewczynka coraz bardziej traciła odwagę. Czuła wyraźnie, jak źle jest ukrywać niektóre myśli... Co to jest sztuka?—zadawała sobie uporczywie jedno pytanie. Chłopiec mówił, że przez nią kocha i niebo, i ziemię, i wszystko to, co go otacza. Czyż ona do tego należy, czy też jest kochana osobno—inaczej? Czy, kiedy myśli o niej, zapomina o niebie, ziemi i o wszystkim. Jeśliby tak było,—uwierzyłaby mu zupełnie. Inaczej,—czuje, że zaczęłaby mu niedowierzać. Chłopiec kocha wszystko przez sztukę, ona też ma być dla niego wszystkim, to nie mogło się jej pomieścić w zmęczonej głowie.—Wreszcie rozplakała się, ale z ciężkiego żalu do chłopca. Nie chciała już słuchać dalekiego głosu skrzypiec, był jej teraz przykrym. Zamknęła kołyszące się od wiatru okno i siedząc z głową opartą na ręce, nie mogła długo się uspokoić.—Teraz już zapóźno prosić chłopca, aby ją wysłuchał,—mówiła jej zrywająca się za oknem burza. I dziewczynka postanowiła sobie, choć zdawało jej się, że jakby nie siebie słucha, zamilczeć przed chłopcem o wielu rzeczach. Gniew i żal płąsały naokoło niej, jak płasają wieczorem po ścianach długie cienie od zapalanej świecy, a ona postanawiała walczyć z sercem chłopca, w którym wydało się jej, że sztuka zajmuje miejsce należne tylko miłości dla niej.

X.

Nad pięknem jeziorem upływało jeszcze jedno słoneczne lato. Opuszczona willa stała w cieniu wysokich drzew, spoglądając na zioła, rosnące z pomiędzy kamieni. Przed nią w gęstej trawie, wznosiła się pozieleniała od mchu kamienna fontanna w jej basenie pyzaty bożek wsparty na głowach wielkich ryb, obróconych otwartymi paszczami w różne strony, trzymał wysoko nad głową kręty róg. Kiedyś lała się z niego nieustannie woda, ale teraz nie było jej tam ani kropli. Paszcze rybnie też były suche i otwierały się jakby z pragnienia. Na szczycie rogu siadały tylko często małe ptaki, ostrząc sobie dziobki o zbrzdżony kamień. Fontanna stała tuż przed tarasem willi i gdyby każdy rozumiał opowiadania ptaków, tak jak to się niektórym ludziom zdarza, to dowiedział by się od nich, że z jej szczytu przez aleję wyciętą prościutko w murze wysokich drzew otaczających zdaleka cały dom, widać było aż wody jeziora, zaś za jeziorem jeszcze kawałek dalekiej góry tak szeroko, jak szeroko pozwalało ją stąd oglądać wycięcie alei.

Daleka góra dziwnie wyglądała: Była to jakby głowa rycerza z kamienną twarzą podniesioną do nieba. Czerwone obłoczki płynęły nad nią wieczorem dopóty, dopóki niebo nie pociemniało. A wtedy zapalała się tuż nad głową kamienną jedna wielka gwiazda i lśniła nad czarną masą góry

aż do świtu... Głowa rycerza istniała jeszcze wtedy, kiedy willi nie było na obecnym jej miejscu. W gęstym lesie drzew, z którego ludzie po budowie domu ogród uczynili, wycięto aleje a wtedy piękny gwarany dom dostrzegł kamienną głowę i powoli wytworzyła się między nimi tajemna zależność.

Dom wiedział, że się zestarzeje i będzie kiedyś opuszczony, bo taki jest los wszystkich domów, góra więc obiecała mu, że będzie mierzyć czas jego życia, czuwając nad nim zdaleka, niby przyjaciel, co czuwa nad słabszym od siebie... I odtąd lata płynęły, trawa zieleniła się i więdła naokoło, liście opadały z drzew, ale czas domu nie podług nich był mierzony. Co zima głowa rycerza okrywała się białą zasłoną i to był znak dla domu, że jeszcze jeden rok jego upłynął. Ale nim jeszcze głowa rycerska zbielała, słońce inaczej zachodząc nad nią ku jesieni, sprawiało, że czoło głowy płonęło czerwonym blaskiem jakby od wielkiego gniewu. To góra aż póki nie uciszył jej śnieg, walczyła ze swoim wielkim czasem który kiedyś również się skończy.

Tak było i teraz: czoło rycerza zaczynało się jak zwykle rumienić, opuszczona od dawna willa, wiedziała, że przetrwała jeszcze jeden rok, choć gruz z jej ścian osypywał się coraz bardziej a skrzywiony od starości bożek fontanny ledwo mógł już utrzymać w ręce utracony pusty róg. Lato przechodziło, mówiły to jednogłośnie wszystkie jaszczurki, wysiadujące w coraz krótszym słońcu między trawą obok spadłych cegieł i kamieni... Pewnego takiego dnia chłopiec z dziewczynką weszli na zrujnowany taras willi, gdzie znaleźli się akurat na wysokości utraconego rogu fontanny. Lekki wiatr wiał od jeziora i poruszał bezwładne skrzydła spóźnionego motyla, leżącego na kamiennej balustradzie tarasu. Słońce zachodziło i oczy ich pobiegły jakby mimowoli aleją wyciętych drzew.

Jakże piękną jest ta rycerska głowa, powiedział chłopiec, wskazując na oświetloną w oddali górę. Wznosi wysoko

w górę kamienne czoło, płonące od promieni jakby walczyła z tym czasem który spustoszył stary dom.

I oboje umilkli na chwilę a potem obejrzeni się za siebie, bo ułomek kamienia spadł akurat z szelestem od szczytu ściany.

Biały dom: powiedział powoli chłopiec. Myślisz o naszym domu?—zapytała dziewczynka,—prawda, jak tam musi być pusto? Oto co nam po nim pozostało,—dodała, pokazując starą zniszczoną książkę.

Była to dawna książka bajek, którą dziś zabrali ze sobą.—Otwórzmy ją na traf i przeczytajmy sobie wróżbę,—powiedział poważnie chłopiec.

Ale kiedy książka była już otwarta, ktoś sprawił, że w tym właśnie miejscu, leżał suchy liść i szczypta ziemi.

Dziewczynkę przejęła lekka trwoga. Taras i wszystko naokoło jakby szepnęło: teraz coś się stanie; ale kiedy liść i ziemia były już odsłonięte, kiedy spojrzał na nie chłopiec, dziewczynka już miała gotowe słowa w głowie, które postanowiła raz na zawsze usunąć wszystkie niepewności. Oparła głowę na ramieniu chłopca i powiedziała mu, nie myśląc ani o swoim białym zamkniętym domu, ani o wszystkim, co ich otaczało.

Jeżeli mnie kochasz rzeczywiście, zostań zawsze ze mną. Już dawno przecież przestaliśmy być dziećmi i co dawniej się z nami działo, nie może powracać nam do głowy. Wszyscy ludzie cię pragną, ale ty przede wszystkim będziesz dla mnie. Ja pierwsza zawsze cię pochwalę i wyznam, co mi jest miłym.

Chłopiec czuł głowę dziewczynki na ramieniu, na swoim prawym ramieniu, kierującem zawsze tak lekko i doskonale smyczkiem, którym czarował ludzi; teraz ugięło się ono pod tą głową i lekko drżało. Na niebie, które już było tylko blado różowe, oddalał się mały obłok, jakby nagląc go do czegoś, a z pomiędzy drzew i z okien willi, wydobywały się ciemności i podnosiły w górę szerokie prze-

zroczyście dłonie, gasząc blask w powietrzu. Więc obrócił na dziewczynkę oczy, w których obok dalekiej góry, odbijał się ciągle zeschły liść i garstka ziemi znalezione w książce i zapytał:—a co będzie z naszym białym domem?

W tych słowach chłopiec powiedział wszystko; reszta jak błyskawicą przemknęła mu przez głowę, tak że na czole niezadowolona dziewczynka nie zauważyła nawet jej światła. Ale zato poczuła pociągnięcie za suknię i odwróciła się od chłopca z nadąsaną miną. Mały złośliwy karzelek ukryty za balustradą, który to sprawił, wzruszył ramionami i stuknął się palcem w czoło jakby współczując jej usiłowaniom.

Spłoszył go dopiero dzwon, odzywający się zdaleka, ale już i tak nie miał on tu nic do roboty. Cienie, co szły zewsząd całą gromadą, wiedziały dobrze o tem. Ich teraz rzeczą było dać odczuć chłopcu cały ciężar nagłego cierpienia, gdy dusza jego już przeszła próg niepewności, nie doczekawszy się ukochanej odpowiedzi. Ich rzeczą było, aby cały jesienny świat od ziół zmarłych w tęsknocie za słońcem aż do chmury, co deszczu utrzymać w szarych objęciach nie może, zapanował nad dwiema duszami, z których każda innem się stała zwierciadłem...

Góra w oddali dawno już zgasła i z ciemnej willi po-
wiał chłód opuszczonej budowli.

XI.

Jesienne dni płyną często jak deszczowa woda, ściekająca z mokrego dachu, a raczej my je często takimi widzimy. Czasami z pomiędzy chmur błysnie błądy promień słońca, zagra tęczą w kroplach zwisających z liści, przebiegnie ziemię i wraca za obłoki. I wtedy wydaje się ludziom, że jakieś cierpiące serce uśmiechnęło się blado, że zbrudzone troską schylone czoło, podniosło się w górę i świeci przez chwilę spokojnie jak jesienne słońce. A potem nadbiega wiatr, wstrząsa trawy, trąca odemknięte drzwi i niezaczezione okienice. Nadciąga nowa chmura, troska ziemi odzywa się w głosie wiatru dla tych, którzy ją muszą usłyszeć.

Siewcy dobroci i mądrości, albo ci, którzy się do tego urodzili i kiedyś takimi będą, wiedzą to dobrze. Ludzie zżęli już złociste ziarno, ale nie dość jeszcze dobrze pamiętają, że wyrosło ono pod okiem słońca. Więc ukrywają je starannie tylko jako pokarm dla ciała, nie wiedząc, że w ten sposób słoneczna praca w ziarnie jest dla nich zupełnie stracona: światło i miłość stały się tylko posiłkiem dla ciała. Wtedy cierpią ci ludzie, którzy myślą o anielskim siewie, cierpią, walcząc z cierpieniem ziemi, zamierającej aż do następnej wiosny...

Od czasu kiedy, chłopiec z dziewczynką byli poraż ostatni w willi, upłynęło wiele dni. Wzburzone jezioro nie-

raz już opowiedziało swoje skargi skalistym brzegom. Nie-raz też błady promień słoneczny padał na dalekie góry, pokryte już śniegiem i świetniał na nich wspaniałą czystością.

Przez cały ten czas chłopiec z dziewczynką widywali się często. Nie chodzili już coprawda do willi, gdzie ich wtedy coś boleśnie zdziwiło. Ale mały karzeł nie opuszczał pomimo to dziewczynki, budził ją rano, pomagał jej myśleć, podpowiadał wiele rzeczy, a na widok chłopca krył się gdzieś w kąciku i stamtąd spoglądał na oboje. Trudniej teraz było im ze sobą rozmawiać. Coś im przeszkadzało, spoglądali na siebie z żałością i zdziwieniem, a potem żegnając się, patrzyli jakby mimo siebie na jakieś cienie, co stawały za każdym z nich.

Aż któregoś dnia chłopiec ujrzał przelatujące ptaki. Byli to już ostatni wędrowcy. Przynagłała je późna jesień. Chłopcu zdawało się, że na szarych zmęczonych swoich skrzydłach niosą one pozdrowienie z dalekiego jego kraju. Długo patrzył za nimi wytężonym wzrokiem, aż póki nie znikły daleko nad morzem. A kiedy ich już nie było można dostrzedz, zaczął uczuwać po raz pierwszy z nieznaną dotąd siłą, że istnieje w nim jakaś ogromna niedokończona melodia. Chciał wysledzić jej początek, kiedy bez wiedzy jeszcze dla niego w nim się poczęła, bo czuł, że zna ją oddawna.

Zagłębiał się więc w siebie, nieruchomiał powoli tak, że pierwsza dziewczynka zauważyła to wyraźnie. Towarzyszący jej karzełek dokładał wszystkich starań, aby ten stan chłopca przedstawić jej z śmiesznej strony. „Nie obawiaj się, to jego serce, które ci się niedługo podda, czyni takie wysiłki”—podszeptował jej w chwilach samotności. I dziewczynka walczyła dalej z sercem chłopca i z dnia na dzień zdawało jej się, że w zwyciężonym sercu artysty zapłonie słońce jedynej bezwzględnej ludzkiej miłości.

Tymczasem chłopiec powoli dotarł do źródła swojej melodii. Teraz już zaczął się dowiadywać, że zajmie mu ona całe życie. Tak, najwspanialszą melodią o jakiej mógł zamaryć, była dla niego pieśń białego domu...

Zdala od tych miejsc gdzie jest teraz, opuszczony przez ludzi stoi biały dom. Jest to miejsce, gdzie pierwszy raz zobaczył dziewczynkę i spotkał dobroć ludzką. Ale teraz między nim a tamtymi chwilami rozściela się cała ogromna historia czasu. Całość jej chłopiec widzi jako jedną wielką tęsknotę za białym domem, ale już nie tym opuszczonym teraz przez mieszkańców. Biały dom, to cała jego ziemia. Tysiące ludu mieszka w nim, ale ludzie ci często zapominają dla łatwości życia o własnym domu. I dlatego jest on opuszczony, jak tamten przy drodze i może wejść weń każdy przechodzień, dla którego obojętny a nawet czasem zbyteczny w drodze jest jego stary dach. Tak, chłopiec widzi, nie wszyscy ludzie poświęcają białemu domowi swoje myśli. Trzeba stworzyć nową pieśń jego ukrytej przed ludzkimi oczami wspaniałości, trzeba mówić do ludzi zapomnianą duszą ziemi, aby poczęli szukać i znajdować w chlebie na niej zebranym ziarno posiane przez wielkich siewców.

I gdy chłopiec tak myślał, przekonał się, że nie zna jeszcze końca swej melodii, ukryta w nim największa harmonia była mu jeszcze nieznaną. Trzeba było za nią gonić w sobie, gonić długo, jak za jakąś krzywdą własną, bo droga jej często krzyżowała się z jego ludzką, tutaj nad jeziorem powstała radość.

Nie wiedział przytem chłopiec, że te wszystkie jego myśli mały karzełek tłumaczył po cichu dziewczynce. „Niezdolnym on jest do ocenienia twej miłości, szeptał on: zły zrobiłaś wybór chcąc walczyć z jego sercem. Serce wybrane przez taką miłość jak twoja, powinno się jej oddać bez żadnych zastrzeżeń. Zresztą przypatrz się mu: miłość wzajemna nie jest tam niczem innym, tylko ogromnem samolubstwem. To, czego sztuce ofiarować nie może, aby go do sławy prowadziła, oddaje tobie. Czyż w oczach jego nie widziałas wtedy tylko największej radości, kiedy mówi

o swoich dziełach, wierz, że napewno wtedy myśl o tobie w głowie mu nie postanie“.

Karzełek coraz częściej szeptał dziewczynce podobne słowa. Nie widziała go ona ma się rozumieć tak, jak się nie widzi niedobrych uczuć, kiedy zaczynają panować nad myślami. Słowa jego przyjmowała zawsze jako same myśli i coraz bardziej uciekała się do ich rady. Chłopiec nie spostrzegł nawet, że parokrotnie w jego obecności wypowiedziała kilka złośliwych uwag, dotyczących jego zamyślenia i przedsięwziętej największej pracy, która mu miała zająć całe życie. To, że nie zwrócił na nie uwagi, pociągnęło za sobą inne bardziej wyraźne przykrości z jej strony.

Wreszcie zaczął ogarniać chłopca w obecności dziewczynki lekki smutek. Kiedyś idąc właśnie w takim usposobieniu, aby ją odwiedzić dowiedział się, że wyjechała na wielką zabawę do miasta. Parę słów, które pozostawiła jako wytłomaczenie, dyktował jej napewno karzełek, gdyż stał on teraz, nie kryjąc się już przed chłopcem na środku pustego pokoju i z nieokreślonym uśmiechem popatrzył mu w oczy.

Chłopiec wyszedł, czytając list, którego nie rozumiał. Zdawało mu się tylko, że cierpienie jego stanęło już nie uciekając przed nim na skrzyżowaniu dróg jego ludzkiego szczęścia i poznania największej harmonji. Każdym krokiem myśli zbliżał się teraz do niego chłopiec. Wracając z listem w ręce, szedł jednocześnie myślami przed siebie, aż doszedł do rozstaju, gdzie zatrzymało się to, co gonił. Nieznośne uczucie smutku uderzało od czasu do czasu o całą jego istotę, jak wiatr jesienny o drzewa, słyhać było w niem głosy ludzi zapamiętane jeszcze z dzieciństwa, jego własne pierwsze melodie i tupot drobnych kroków karzelka, biegnącego za jego śladem.

Aż wreszcie z całego tego zamętu wydobył się jeden wielki ton czysty jak blask śniegu na dalekich górach. Dźwięk ten pochłoniął wszystkie inne, otworzył przed chłop-

cem niby rycerski rozkaz ciężkie tajemne wrota i pokazał mu za niemi najjaśniejszy ze wszystkim dom słońca, którego nie mogła mu już zaćmić żadna omyłka.

I w tej chwili chłopiec dowiedział się, że tylko tam wobec tej opuszczonej zamkniętej pamiątki samego dzieciństwa, wobec zamkniętego białego domu przy drodze, poczuje się artystą aż do końca.

Kiedy to nastąpiło, chłopiec rozumiał też, dlaczego dziewczynka nie wiedziała o co mu chodzi, dojrzał, że nie wiedziała więcej, niż on mógł dawniej przypuszczać. Bo chłopiec jeden nigdy nie zapomnił czasu, kiedy był dzieckiem. Dobroć i miłość rozumiał później tak, jak je odczuł wtenczas w zimie i na wiosnę w białym domu. Życie późniejsze rozwijało w nim to, co w łasce dzieciństwa zostało mu dane; teraz serce jego wybrało ponad wszystkie rozpacze tylko ten niedosłyszalny płacz tęsknoty, który nie odbiera oczom jasnych promieni. I chłopiec był gotów do wielkiej swojej pracy: wyśpiewania całej pieśni białego domu.

ostatni rozdział

XII.

Historje ludzkie zapisują się w przestrzeni tam, gdzie my ich dostrzedz nie możemy, tak jak historia lat i czasu zapisuje się na kamieniach dawnych budowli. Tylko że historia kamieni nie jest wieczną. Kamień się rozpada, a rysy i szczyrby, któremi była na nim kreślona, tracą w ten sposób swoje znaczenie. A to, co się pozostaje, nie jest już do odczytania, tak jakby to się chciało uczynić. Dopiero ziemia, z którą zmieszało się opowiadanie kamieni i w nią wsiąkło, oddaje znów swój głos niebu w chwilach największego spokoju. Ludzie nazywają taki spokój ciszą. Ale nie jest to cisza niema, taka, jaka poprzedza jakieś przerażenie. Jest to wielkie zamyślenie, jedna ogromna modlitwa, która podnosi się w górę razem z mgłą wieczorną aby pozostać niby jedno niemilkące echo w przestrzeni. A wtedy spotyka ona tam ludzkie historie, słowa, czyny i myśli takie nawet, które tam odeszły nie potwierdzone na ziemi kamieniem jakiegokolwiek budowy. I poznają się ze sobą te wielkie i maleńkie pojedyncze historie i śpiewają każda swoim nie dla każdego ucha dosłyszczanym głosem, o wielkiej harmonii nieba i ziemi.

Są ludzie, którychby można nazwać ulubieńcami ciszy; ci, kiedy są w nią zasluchani jakby zaczynają powoli rozumieć wielką muzykę świata. Ale jest ona tak różna od tego,

co można powtórzyć samemu, że muszą walczyć ze sobą, aby choć trochę uwierzyć, że to nie jest piękne złudzenie słuchu. Walka ta to ludzka tęsknota. Człowiek przywykł tylko do tego, co widzi naokoło, a nawet jeśli co słyszy, to zwykle sobie okiem tłómaczy. Jakże mu więc trudno uwierzyć w rzeczy niewidzialne dla siebie i innych. A historie świata ciągle przybywają, muzyka ich staje się od tego coraz bardziej złożoną i trudną do pojęcia, które powinno po usłyszeniu nastąpić.

Mówiłem wam o białym domu, powtórzyłem historię chłopca i dziewczynki, tak jak mi ją cisza zechciała nietylko wydzwonić, ale i wytłómaczyć. Jest to część historii dwojga ludzi, która też odkąd się stała, żyje w przestrzeni i spływa w ciszy na ziemię. Tylko niestety i ona nie przemawia dla wszystkich: ci, którzy nigdy nie tęsknili, albo bardzo łatwo zapomnieli o tem, nie usłyszą jej nigdy. Conajwyżej, zastanowi ich kiedy w ciężkiej, czy bardzo radosnej chwili jakiś pojedynczy dźwięk przestrzeni, który wytłómaczą sobie wzburzeniem krwi we własnym ciele.

Powiedziałem wam więc to, co może się chwilami wydać bardzo nieprawdopodobnem. Bo w słowach starałem się odtworzyć ten uspokojony rytm zwyczajnej ludzkiej doli, tylko jakby pamięć życia, która nigdy nie umiera.

Zapewne chcielibyście chociaż wiedzieć, co się mogło stać z chłopcem i dziewczynką od chwili ich powtórnego rozstania?... O dziewczynce nic wam jednak nie mogę powiedzieć, bo cisza przemilczała o tem. Tylko o chłopcu w ostatnich rozwiewających się dźwiękach, bo ta część jego historii zapewne dopiero tonie w przestrzeni, dowiedziałem się, że gra dalej. Myśli jego stają się jakby coraz piękniejszym instrumentem, oddzwaniającym na wszystko, co go otacza, coraz nowymi akordami pieśni o białym, ukochanym ludzkim domu.

Historia